

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



SZOLEM ALEJCHEM

NOTATKI
KOMIWOJAZERA

Przełożył JAKUB APPENSZLAK

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

DO CZYTELNIKÓW

Jestem komiwojażerem. Podróżuję jedenaście miesięcy w ciągu roku. Jadę zazwyczaj pociągiem, najczęściej trzecią klasą, i prawie zawsze odwiedzam żydowskie miasta i miasteczka. Bo po cóż bym jeździł tam, gdzie nie ma Żydów?

Mój Boże! Ileż to dziwolągów spotyka się po drodze! Szkoda tylko, że nie jestem pisarzem. Chociaż, prawdę mówiąc, dlaczego nie mam prawa zwać się pisarzem? Kim jest pisarz? Każdy człowiek może zostać pisarzem. Tym bardziej pisarzem żydowskim. Język żydowski – też mi sztuka! Bierze się pióro do ręki i pisze.

Ale, moim zdaniem, nie każdy powinien brać się do pisania. Trzeba się trzymać swojego zawodu. Fach jest fachem. Tak myślę. Jednakże człowiek próżnujący może znaleźć rozrywkę w pisaniu.

Jako komiwojażerowi zdarzają mi się w drodze całe dni, gdy nic nie robię. Siedzę i myślę. Ot, choćby tłuc łbem o ścianę! Przyszedł mi więc dobry pomysł do głowy. Kupiłem kajet i ołówek. Wszystko, co tylko po drodze słyszę lub widzę, notuję w moim kajecie. W ten sposób, jak widzicie, zapisałem sporo stronic. Starczy pewno do czytania na cały rok! W końcu jałem się namyślać, co z tym fantem począć? Wyrzucić? Szkoda. Dlaczegoż nie wydać tego w książce lub nie wydrukować w gazecie? Niech mnie lichy porwie, jeśli nie czytałem gorszych rzeczy!

Wziąłem się tedy do pracy. Rozłożyłem cały towar według gatunków. Wyrzuciłem gorsze, a zostawiłem to, co najlepsze. Podzieliłem go na numery: pierwszy, drugi i tak dalej. Każde opowiadanie zaopatrzyłem innym tytułem. Nie wiem, czy zrobię na tym interes, czy też dołożę. Bardzo pragnąłbym wyjść na czysto!

Nie pytajcie mnie, po co to uczyniłem. Nie wiem. Być może, że to szaleństwo z mojej strony... Ale przepadło, już się stało! Przed jednym się zabezpieczyłem: przed krytykami. Zataiłem firmę. Na próżno będą się starali wykryć moje nazwisko. A niech krytykują, niech się śmieją, niech się pną na gładkie ściany! Dbam o nich tyle co pies o piątą nogę. Nie jestem pisarzem ani belfrem, ani żadnym łazęgą. Jestem kupcem.

Komiwojażer

KONKURENCI

W największym tłoku – gdy Żydzi pchają się wchodząc i wychodząc, gdy w wagonie rozgorzeje walka o miejsca jak, nie przymierzając, w bóżnicy o rodąły¹ – zjawiają się zazwyczaj oboje: on i ona.

On – czarny, tęgi, rozczochrany, z bielmem na oku, ona – ruda, szczupła, krościasta. Oboje obdarci i szarzy, w łatanych butach. I oboje z jednakowym towarem: on z koszem i ona z koszem. W obu koszach plecione obwarzanki, jajka na twardo, woda sodowa i pomarańcze. Zdarza się niekiedy, że on ma w koszu papierowe tutki z czerwonymi wiśniami lub zielone, kwaśne jak ocet winogrona. Wówczas zjawia się ona z takimiż wiśniami lub kwaśnymi jak ocet winogronami.

Oboje przychodzą jednocześnie, przepychają się przez drzwi wagonu. Oboje mówią jednakową gwarą, ale w sposób nieco odmienny: on głosem słabym, bez „r”, miękko i rozwlekle, jakby nie miał języka, ona zaś sepleni, jakby w ustach miała kluski.

Sądziecie może, że konkurują ze sobą obniżając ceny? Nic podobnego. Ceny mają jednakowe, a cała ich konkurencja polega na tym, że pragną wzbudzić jak najwięcej litości. Oboje błagają, aby zmiłować się nad ich pięciorgiem dzieci. (On ma pięcioro sierot – ona również.) Oboje patrzą wam natarczywie w oczy, podsuwają pod sam nos towar i mielą językiem tak długo, aż chcąc nie chcąc musicie coś kupić.

Oszalają was po prostu tą paplaniną i prośbami. Nie możecie się zdecydować, u kogo kupić: u niego czy u niej? Jeśli zechcecie oboje zadowolić, spotkacie się wnet z protestem:

– Skoro pan kupuje, niech pan kupi u jednego z nas! Nie tańczy się równocześnie na dwóch weselach...

A jeśli zamierzacie postąpić sprawiedliwie i kupujecie raz u niego, a innym razem u niej, to wysuną przeciwko wam mnóstwo pretensji:

– Cóż, dzisiaj się panu nie podobam?

Albo:

– W ubiegłym tygodniu kupił pan u mnie towar i, zdaje się, nie udławił się pan ani nie otrul!

Gdy zaś zaczynacie im prawić morały i dowodzić, że każdy musi żyć – jak to powiada Niemiec: *Leben und leben lassen* – z miejsca otrzymujecie odpowiedź. Nie po niemiecku, lecz w prostym, zrozumiałym języku żydowskim:

– Wujaszku! Nie siada się na dwóch krzesłach...

Tak jest, drogi przyjacielu! Nigdy nie uda ci się zadowolić wszystkich. Nie próbuj też wszystkich godzić, bo ci to wyjdzie bokiem! Wiem o tym z własnego doświadczenia. Mógłbym ci opowiedzieć, jak to pewnego razu chciałem pogodzić zwaśnioną parę, a w rezultacie oberwałem burę – i to od własnej żony. Nie chcę jednak mieszać dwóch historii, choć w interesach nieraz tak bywa, że mówi się o jednym towarze, a sprzedaje inny. Zresztą, wróćmy do naszego opowiadania.

Pewnego razu – było to w dżdżysty, jesienny dzień – niebo rozpląkało się, ziemia była naga i błotnista, a na stacjach tłoczyli się ludzie. Na każdym postoju tłumy pasażerów. Wszyscy biegną, popychają się, a Żydzi bardziej niż inni. Każdy chce pierwszy wejść do wagonu. Każdy obładowany walizami, paczkami, pościelą.

Zgiełk, ścisk. A wśród największej ciżby – on i ona. Oboje z pełnymi koszami i pchają się jak zazwyczaj jednym wejściem. Nagle... Co się stało? Obydwa kosze leżą na ziemi. Obwarzanki, jajka, butelki z wodą sodową i pomarańcze poniewierają się w błocie. Krzyki, piski i jęki mieszają się ze śmiechem konduktorów i wrzawą podróżnych. Dzwonek, gwizd lokomotywy. Po chwili jedziemy...

1

W wagonie gwar: wszyscy gadają jednocześnie jak kobiety w bóżnicy lub gęsi na jarmarku. Trudno uchwycić treść słów. Słyszą tylko urywane zdania:

- Zamach na obwarzanki...
- Pogrom jajek...
- Co im zawiniły pomarańcze?
- Szkoda słów!
- Jakie straty ponieśli?
- Dobrze im tak! Niech się nie pchają na siłę i nie płaczą pod nogami!
- Cóż mają począć? Żyd szuka zarobku!
- Cha, cha, cha! – rozlega się basowy głos. – Żydowskie zarobki!
- Żydowskie zarobki? – odzywa się młody, piskliwy głos. – Czy macie lepsze? Dajcie im – chętnie wezmą!
- Młody człowieku! Nie do pana się mówi! – grzmi basowy głos.
- Nie do mnie pan mówi? Ale ja mówię do pana! Ma pan dla nich lepszą pracę? Aha, zamilkł pan? Dlaczego pan zamilkł?
- Czego chce ode mnie ten młody człowiek?
- Czego chce? Powiada pan: żydowskie zarobki? Dobrze. Czy ma pan lepsze? Proszę, wymień pan.
- Proszę, jak się wam podoba? Przyczepił się...
- Cicho, Żydzi! Zamilknijcie już... Przyszła ona...
- Jaka ona?
- Ta handlarka.
- I gdzież ta ślicznotka?
- O, tutaj...

Skulona, czerwona na twarzy, z zapuchniętymi od płaczu oczyma, z pustym koszem przepycha się przez ciżbę, szukając wolnego miejsca. Siada wreszcie na koszu, zasłania oczy podartym szalem i popłakuje z cicha.

Dziwna jakaś cisza zapadła w wagonie. Słowa się wyczerpały, skołowaciały języki.

Nagle zrywa się pasażer i woła niskim, basowym głosem:

- Żydzi! Dlaczego milczycie?
- Co tu gadać?
- Trzeba jej pomóc...

Niebywałe! Wiecie, kto to zaproponował? Ten właśnie, który przed chwilą wyśmiewał „żydowskie zarobki”. Pasażer w dziwacznej czapce na głowie. Jest to rodzaj kaszkietu z błyszczącym daszkiem. Nosi przy tym niebieskie okulary, zza których nie widać mu oczu. Uwydatnia się tylko nos mięsisty, gruby, podobny do bulwy.

Niedługo myśląc zdejmuje kaszkiet, wrzuca doń kilka srebrnych monet, podchodzi po kolei do każdego pasażera i grzmi basowym głosem:

– Ofiarujcie, Żydzi, ile kto może! Ziarnko do ziarnka, zbierze się miarka. Darowanemu koniowi nie zagląda się w zęby...

Ludzie sięgają do kieszeni, otwierają portmonetki. Dzwonią srebrne i miedziane monety. Wśród pasażerów znajdował się również kacap w wysokich butach, ze srebrnym łańcuchem na szyi. Przeżegnał się i wrzucił pieniądze.

Jeden tylko pasażer odmówił i nie chciał dać ani grosza. Był to ten sam, co ujął się za „żydowskimi zarobkami”. Młody inteligent o tłustych policzkach, z żółtą, spiczastą bródką, w złotych binoklach. Jeden z tych, którzy mają zamożnych rodziców i bogatego teścia, sami opływają w dostatki, a jeżdżą trzecią klasą, gdyż żałują pieniędzy.

- Młodzieńcze, wrzuc coś do czapki! – mówi doń pasażer w niebieskich okularach.
- Nie daję – powiada inteligent.
- Dlaczego?

- Tak sobie. Mam taką zasadę.
- Domyślałem się tego.
- Na jakiej podstawie?
- Poznać to po panu. Przysłowie uczy: „Poznać pana po cholewach.”

Młody człowiek, inteligenta poczerwieniał z gniewu. Binokle spadły mu z nosa. Zerwał się z miejsca i podszedł do pasażera w niebieskich okularach.

- Jesteś pan nieuk, cham, grubianin, a do tego wstrętna świnią!
- Bogu dzięki! Bylebyś pan trzymał ręce z daleka...

Tak odpowiedział mu ów z kartoflanym nosem i o grzmiącym głose – tym razem, jakby na przekór, łagodnym tonem – i zbliżył się do płaczącej kobiety.

– Ciotucho, starczy na dziś płaczu! Psujesz sobie tylko oczy. Podaj torbę, wsypiemy ci trochę grosiwa.

Dziwna niewiasta! Sądzicie zapewne, że na widok pieniędzy zerwała się na nogi i jęła rozpływać się w podziękowaniach? Nic podobnego. Zamiast podziękowań, z ust jej posypał się grad przekleństw. Trysnęła fontanna klątw.

– Wszystkiemu on winien – oby ręce i nogi połamał! Miły Boże, wszystko złe od niego pochodzi – niechaj go ziemia pochłonie! Ojczy w niebie, niech nie doczeka powrotu do domu! Niech go cholera zabierze, niech się żywcem spali, niech go robactwo stoczy! Oby zginął marnie, oby kark skręcił!...

O rety! Skąd też nabrała tyle przekleństw? Całe szczęście, że przerwał jej pasażer w niebieskich okularach:

– Dość tych błogosławieństw, niewiasto! Opowiedz lepiej, czego chcieli od was konduktorki?

– Wszystko przez niego, niech go diabli porwą! Bał się, że zabiorę mu klientów, więc chciał pierwszy wepchnąć się do wagonu. Idę naprzód, a on chwyta za mój kosz. Zaczynam krzyczeć, aż tu zjawia się żandarm i daje znak konduktorom. Przychodzą konduktorki i wysypują towar z obydwu koszów do błota... Oby im kości spróchniały! Możecie mi wierzyć, że odkąd jeżdżę po tej linii i handluję tym towarem, nikt mnie jeszcze nie zaczepił. A jak się wam zdaje, dlaczego? Może sądzą, że tacy dobrzy z nich ludzie? Oby dotknęło go tyle plag, ile obwarzanków i jajek rozdaje się na stacjach! Każdemu trzeba zatkać gębę. Co dzień trzeba dawać – taki to podły naród! Starszy konduktor bierze należną mu część zakąsek, a pozostali konduktorki dzielą się: temu daj obwarzanki, tamtemu jajko, innemu pomarańczę. Czegóż wam jeszcze potrzeba? Nawet ten, który pali w piecach – niech go cholera wykończy! – również jest amatorem zakąsek. Takie nieszczęście! Grozi mi, że jeśli mu nic nie dam, to poskarży żandarmowi... A nie wie, że sam żandarm jest posmarowany. Zgarnia co niedziela tuzin pomarańczy. I wybiera najładniejsze, największe, najlepsze...

– Ciotuniu – przerywa jej pasażer w niebieskich okularach. – Sądząc z waszych interesów, musicie dużo zarabiać?

Kobieta, jak oparzona, zrywa się z miejsca.

– Kto panu to powiedział?! Ledwo można związać koniec z końcem. A zdarza się też, że dokładam. Ot, pcha się biedę...

– Więc po co się tym zajmujecie?

– A co mam począć? Może kraść? Trzeba wyżywić pięcioro dzieci – pięć choler niech moim wrogom wlezie do wnętrzości! Zaś sama jestem chora – żeby on chorował choćby od dzisiaj do przyszłego roku! Przecież on wszystko zmarnował, pogrzebał interes – oby jego jak najrychlej pogrzebali! I jaki interes! Jaki dobry interes!

– Dobry interes?

– Złoty interes, łatwy zarobek... Jak to powiadają, chleb z masłem.

– Dopiero co słyszeliśmy, że klepicie biedę!

– A co można zarobić, jeśli połowę towaru oddaje się konduktorom i co niedziela żandar-mowi? Cóż to? Czy mam krynicę, studnię bez dna? Czy kradnę pieniądze?

Pasażer w niebieskich okularach i z nosem w kształcie ogórka stracił w końcu cierpliwość.

– Ciotucho, pleciecie coś trzy po trzy...

– Ja plotę? To zmartwienia moje plotą – a niechże on się nimi udławi! Niech go Bóg ska-rzę! Był krawcem, łaciarzem i – jak to powiadają – zarabiał na wodę do kaszy. Ale zazdrość go opadła, gdy ujrzał – oby mu oczy na wierzch wylazły! – że zarabiam na kawałek chleba i utrzymuję tym oto koszem pięcioro dzieci... Niechże mu sól dostanie się do oka, a kamienie do serca! I oto opuszcza mieszkanie – oby dusza go opuściła! – i również kupuje kosz – obym mu rychło kupiła śmiertelną koszulę! Pytam go: „Co to znaczy?” „To znaczy – powiada – że ja mam również pięcioro dzieci, które chcą jeść... Ty ich nie będziesz karmiła twoim chle-bem...” No i cóż poradzisz? Włóczy się za mną z koszem, wyrывa mi z rąk klientów – oby mu wszystkie zęby wyrwano! – i każdy kęs z ust mi wydiera – oby go posiekano na kawałki!

Pasażer w niebieskich okularach zadaje jej wobec tego ze wszelch miar zrozumiałe pytanie:

– Więc po cóż chodzicie razem?! Kobieta wlepią weń zapłakane oczy.

– A cóż mamy począć?

– Niechaj każde z was handluje osobno. Linia jest przecież długa!

– A on?

– Kto?

– On, mój mąż!

– Czyj mąż?

– Mój drugi mąż.

– Czyj drugi mąż?

Kobieta zaczerwieniła się jeszcze bardziej.

– Jak to, czyj drugi mąż? To on właśnie, ten łążęga – o biada mi! – jest moim drugim mę-żem!

Wszyscy zrywamy się z miejsc.

– On, ten konkurent, jest waszym drugim mężem!?

– A cóście myśleli? Że to mój pierwszy mąż? Och, gdyby żył mój pierwszy mąż wygląda-łabym dziś inaczej...

I kobiecina zaczyna się już rozwodzić śpiewnym głosem o swoim pierwszym mężu. Ale nikt jej nie słucha. Wszyscy mówią jednocześnie, rzucają ironiczne uwagi, śmieją się, pokła-dają się ze śmiechu.

Nie wiecie, jak to bywa w kompanii?

NAJSZCZĘŚLIWSZY CZŁOWIEK W KODNIACH

Wiecie, kiedy najlepiej podróżuje się koleją? Jesienią, mniej więcej w okresie Kuczek².

Na dworze ani zimno, ani też gorąco. Patrzysz na rozplakane niebo i otuloną mgłami ziemię. Krople deszczu dzwonią w okno, spływają po szybie jak łzy, a człowiek siedzi sobie niczym dziedziec w wagonie trzeciej klasy – w towarzystwie takich samych jak on magnatów – i widzi, że w dali wlecze się wózek i grzęźnie co chwila w błocie. Na wózku siedzi okryta workiem istota ludzka i skarży się na swój los wychudłej szkapinie. A ty dziękujesz Bogu, żeś znalazł się pod dachem, wśród ludzi... Co do mnie, najchętniej jeżdżę pociągiem jesienią w okresie świąt Kuczek.

Najważniejsza rzecz – to znaleźć sobie miejsce. Skoro udało mi się zdobyć miejsce, i do tego z prawej strony przy oknie, czuję się jak król. Wyjmuję papierośnicę, palę papierosa za papierosem i rozglądam się dookoła. Chcę wiedzieć, kto ze mną jedzie i z kim można wdać się w pogawędkę, zamienić kilka słów o interesach. Mnóstwo pasażerów! Stoją ściśnięci jak śledzie w beczce. Brody, nosy, czapki, brzuchy... Lecz, sza! Oto siedzi wtulony w kąt jakiś dziwny człowiek, zgoła niepodobny do innych. Bystre mam oko! W największym ścisku zauważę niezwykłego człowieka.

Prawdę mówiąc, na pierwszy rzut oka niczym nie różni się od pospolitego, przeciętnego Żyda. Takich Żydów – jak to u nas powiadają – mierzy się na łokcie. Ale jest dziwnie ubrany; kapota jego nie przypomina zwykłej kapoty, na głowie czapka nie taka jak inne: jarmułka, a jakby nie jarmułka. W ręku dziwaczny parasol. Jednak nie to w nim uwagi godne. On sam jest niezwykły w tej swojej ruchliwości, w ustawicznym rozglądaniu się, w niemożności usiedzenia na miejscu. A twarz jego tak dziwnie promienieje, bije z niej radość i szczęście. Prawdopodobnie człowiek ten wygrał na loterii, wydał szczęśliwie córkę za mąż albo też umieścił syna w gimnazjum. Co chwila zrywa się, patrzy w okno i mówi do siebie:

– Czy już stacja? Jeszcze nie?

I znów siada przysuwając się bliżej do mnie – rozpromieniony, wesoły, szczęśliwy.

Nie lubię, jak inni, wtykać nosa w czyjeś sprawy, zapytywać: kto zacz, skąd? Jestem przekonany, że człowiek, który ma coś do powiedzenia, sam się wygada.

I tak było tym razem. Gdyśmy minęli drugą stację, mój ruchliwy sąsiad przysiadł się trochę bliżej, potem całkiem blisko, tak że usta jego znalazły się tuż przy moim nosie.

– Dokąd jedziecie?

Zrozumiałem z jego pytania, rozglądania się i nerwowego drapania pod czapką, że nie tyle chciałby wiedzieć, dokąd jadę, ile sam się wygadać, dokąd on jedzie. Pośpieszyłem mu więc z pomocą, kwitując pytanie pytaniem:

– A wy dokąd?

– Ja dokąd? Do Kodni. Mieszkam tam. To niedaleko. Trzecia stacja. Właściwie mamy stąd prawie tyle co trzy stacje. A stamtąd do Kodni trzeba jeszcze jechać wozem półtorej godziny. Tak się tylko mówi: półtorej godziny. Naprawdę trwa to dwie godziny, bite dwie godziny z okładem. Oczywiście, jeśli droga jest dobra i jedzie się wolantem. Zamówiłem wolant, i to telegraficznie. Czy dla własnej wygody? Bynajmniej. Jeśli chodzi o minie, zgodzę się chętnie na szóstego pasażera do zwyczajnej furmanki. Albo biorę parasol pod jedną, torbę pod drugą pachę i jazda, prosto do miasta, pieszo. Nie stać mnie na wolanty. Takie dziś złote interesy, że najlepiej siedzieć w domu. Rozumie pan? Co?

Mój sąsiad umilkł, westchnął. Po chwili zaczął mi szeptać do ucha, oglądając się na wszystkie strony, czy nas kto nie podsłuchuje:

² K u c z k i – święto Kuczek (Sukot) obchodzone na pamiątkę wędrówki Żydów przez pustynię po wyjściu Z Egiptu.

– Nie jadę sam. Jadę z profesorem... Skąd do mnie profesor? To długa historia. Czy słyszał pan kiedyś o Kaszewarewce? Jest sobie takie miasteczko, nazywa się Kaszewarewka. Mieszka tam Żyd, bogacz, dorobkiewicz – może słyszeliście o nim? Nazywa się Borodenko, Icek Borodenko. Podoba się wam nazwisko? Wcale nie żydowskie nazwisko. Ale co z tego? Borodenko ma pieniądze, dużo pieniędzy. U nas, w Kodniach, szacują go na pół miliona. Co do mnie, sądzę nawet, że ma okrągły milion. Zresztą taki świntuch – z przeproszeniem mówiąc – może mieć i dwa... Wprawdzie widzę pana po raz pierwszy, ale domyślam się, żeś objechał kawał świata i widział więcej ode mnie. Powiedz mi pan prawdę: czy słyszałeś gdziekolwiek, aby niejaki Borodenko ofiarował pieniądze na cel dobroczynny, dla biednych? U nas, w Kodniach, nic nie wiadomo o tym. Nie chcę się wtrącać do spraw boskich lub grzebać w cudzej kieszeni. Toteż nie mówię o jałmużnie i dobrych uczynkach. Mam na myśli jedynie człowieczeństwo. Pan Bóg ci dopomógł, przysporzył ci tyle bogactw, że możesz sobie pozwolić na zaproszenie profesora ze stolicy – to cóż ci szkodzi, że ktoś inny skorzysta z tej okazji? Nikt cię nie oprosi o pieniądze, proszę cię o dobre słowo – więc dlaczego się pieklisz? Niech pan posłucha ciekawej historii...

Było to tak: dowiedziano się u nas w Kodniach (u nas wiedzą o wszystkim), że córka bogacza z Kaszewarewki, Icka Borodenki, zachorowała – nie daj Boże! – ciężko. Na czym polega jej choroba? Co tam dużo gadać: miłość. Zakochała się w chrześcijaninie, ten ją odtrącił, więc zażyła trucizny – u nas wiedzą o wszystkim. Było to wczoraj. Zawezwano natychmiast profesora, wielkiego profesora. Dla bogacza to fraszka...

Dowiedziawszy się o tym wpadłem na pomysł: ponieważ profesor długo tam nie zostanie – dziś, jutro wraca do domu – a przejeżdżać będzie musiał przez naszą stację, to jest przez Kodnie, może by wstąpił po drodze do nas, to jest do mnie? Mam chore dziecko. Niestety, mówię panu! Co mu dolega? Sam nie wiem. Chyba coś w środku. Kaszleć nie kaszle, bólu wewnątrz nie odczuwa. Tylko co? Nie ma w sobie kropli krwi i słabe to jak mucha. Nie je. Nic nie je. Nic – to przesada. Czasem wypije szklanekę mleka. I to zmuszać trzeba, prosić, płakać! A poza tym ani łyżki rosółu, ani kęsa chleba. O mięsie lepiej nie mówić – nie może patrzeć na nie! Tak jest od czasu krwotoku. Raz jeden miał krwotok, silny krwotok... Od tego dnia, dzięki Bogu, już nie. Ale jest osłabiony, ledwie zipie. Łatwo powiedzieć: osłabiony! Ma febrę, majaczy i gorączkuje jak po ospie już od Zielonych Świąt. Trzydzieści dziewięć i pięć kresiek. Lub trzydzieści dziewięć bez pięciu kresiek... Nie ma na to rady.

Byłem z nim nieraz u doktora. Cóż wiedzą nasi doktorzy? Kazali mu dużo jeść i używać świeżego powietrza. Jakże to? Przecież on nie chce ani słyszeć o jedzeniu. A powietrze? Skąd powietrze? W Kodniach powietrze? Cha, cha! Miłe to miasto – Kodnie. Żydowskie miasteczko. Są u nas Żydzi. Jest synagoga, bóżnica, rabin... Ale od dwóch rzeczy ustrzegł nas Stwórca: od zarobków i powietrza. Trudno, z zarobkiem dajemy sobie radę, jeden zarabia u drugiego. Ale powietrze? Kto chce zaczerpnąć powietrza, musi się udać do dworu. Tam, na folwarku, widzi pan, jest dość powietrza. Kiedyś, gdy Kodnie należały do polskiego dziedzica, nie wolno było nawet zajrzeć do dworu. Dziedzic nikogo nie wpuszczał – nie tyle dziedzic, ile dworskie psy. Ale od czasu gdy Kodnie przeszły w ręce żydowskie, usunięto psy i dwór zmienił się nie do poznania. Przyjemnie tam bywać. Nowi właściciele mówią po żydowsku jak ja z panem. Przyznają się do Żydów i lubią Żyda. Jeśli już o nich mowa, to muszę nadmienić, że nie należą oni do pobożnych Żydów. Nie kwapią się zbyt z chodzeniem do synagogi, do łaźni ani nie zajrzają, nie przestrzegają przepisów sobotnich. Sami zarzynają kurczaki, no i gołą brody. Zresztą w dzisiejszych czasach golenie bród – to nie żadna nowość. I u nas, w Kodniach, niejednemu młodzieńcowi ciąży już czapka na głowie...

Kodnie nie mogą się uskarżać ma nowych właścicieli. Żydowskie dziedzice są dobroczyńcami miasteczka. W jesieni przysyłają ze sto worków kartofli dla ubogich. Zimą – słomę do palenia w piecu. Niedawno ofiarowali cegły na budowę bóżnicy. Trzeba przyznać: zachowują się przyzwoicie, po gospodarsku, jak się należy. Gdyby nie te kurczaki na maśle! I trefne mię-

so... Niech się panu wcale nie zdaje, że ja ich, broń Boże, obmawiam! Nie mam do nich żalu. Wprost przeciwnie. Kochają mnie jak rodzzonego brata. Gdy na przykład zdarzy się, że trzeba coś załatwić w miasteczku, kupić nowy lulew³ na Nowy Rok lub macę na Pesach, półkoszki na Kuczki i inne podobne rzeczy – wtedy wzywa się reb Altera. Żona moja w sklepiku (moja żona ma sklepik) zarabia u nich nieźle, sprzedając sól, pieprz, zapalki itd. Tacy szlachetni są nasi dziedzice. A synowie ich, studenci, opiekują się moim synem. Latem, gdy zjadą się z Petersburga, uczą go, czego dusza zapagnie. Cały dzień spędzają z nim nad książkami. A trzeba panu wiedzieć, że dla niego książka to jak powietrze dla płuc. Droższa niż ojciec i matka. Zdaje się, niestety, że ta książka wpędzi go do grobu. Od książki zaczęło się to całe nieszczęście. Żona wmawia mi, że to raczej pobór poderwał jego zdrowie. Jaki pobór? Co za pobór? O poborze dawno już zapomniał. W końcu, co za różnica, czy książka, czy też pobór stały się przyczyną nieszczęścia? Wiem tylko, że mam chore dziecko, które niknie mi w oczach, gaśnie jak świeca. Oby Bóg się nad nim zmiłował...

Na chwilę sposepniała rozpromieniona twarz mego sąsiada. Ale nie na dłużej jak na chwilę. Wnet słońce wyjrzało zza chmur i twarz jego znów się rozjaśniła. Oczy rozbłyły, usta się uśmiechnęły i mówił dalej:

– A więc, na czym utknęliśmy? Aha... Postanowiłem tedy udać się do Kaszewarewki, do bogacza Icka Borodenki. Oczywiście, nie puściłem się w drogę z pustymi rękoma. Wziąłem ze sobą list od naszego rabina. Piękny list, brzmiał on następująco:

„Ponieważ Bóg Cię uszczęśliwił bogactwem i możesz zawezwać do swego domu profesora, a u naszego Altera na łożu śmiertelnym leży syn konający – mam nadzieję, że zatli się w sercu Twoim iskra litości, wejdiesz w położenie biednego człowieka i uprosisz profesora, ażeby w drodze powrotnej (wszak wraca przez Kodnie) zatrzymał się u nas pół godziny i zajrzał do chorego chłopca. Dziękuję...”

I tak dalej. Piękny list!

Nagle lokomotywa gwizdnęła, pociąg się zatrzymał. Mój sąsiad zerwał się z miejsca:

– Co? Stacja? Skoczę na chwilę do pierwszej klasy. Zajrzę tylko do mego profesora, a jak wrócę, opowiem wszystko – do końca...

Wrócił z obliczem jeszcze bardziej radosnym. Rzekłbyś, że spoczął na nim majestat boży. Począł szeptać mi do ucha – jakby w obawie, że kogoś obudzi:

– Mój profesor śpi sobie. Daj Boże, aby się wyspał i przybył do Kodni wypoczęty... Gdzieśmy to się zatrzymali? Aha, w Kaszewarewce. Jadę więc do Kaszewarewki i od razu udaję się do bogacza. Dzwonię raz, drugi i trzeci, wyskakuje jakiś drażal o tłustej, wygolonej gębie, oblizuje się jak kot i pyta:

– Czego chcesz?

Odpowiadam mu na złość po żydowsku:

– Widocznie mam jakiś interes, w przeciwnym razie nie fatygowałbym, się do was aż z Kodni.

Wysłuchał mnie, oblizal się, kręci głową i mówi:

– Nie wolno teraz wejść, bo siedzi u nas profesor.

A ja na to:

– Wprost przeciwnie, to dobrze, że siedzi u was profesor. Przyjechałem właśnie do niego. A on do mnie:

– Jaki to interes macie do profesora?

Jeszcze czego! Będę się przed nim tłumaczył! Podaję mu list rabina.

– Łatwo ci gadać, gdy stoisz za drzwiami, a ja na deszczu. Weź ten dokument – mówię – i natychmiast oddaj swemu panu do własnych rąk.

³ Lulew – gałąź palmowa.

Sam zostałem na dworze i czekam, aż mnie zawołają. Czekam kwadrans, czekam godzinę, czekam dwie. Deszcz leje jak z cebra, a odpowiedzi jakoś nie ma. Zacząłem się niecierpliwie. Obrazili moją godność, a właściwie nie tyle moją, ile naszego rabina. Przecież ten list napisał nie byle kto. Pisał go rabin, a rabin w Kodniach cieszy się wielką sławą.

Zadzwońm tedy raz i drugi. Jak nie wyskoczy na mnie ten sam drab o czerwonych policzkach, jak nie zacznie krzyczeć:

– A ty taki, owaki, jak śmiesz tak bezczelnie dzwonić?!

– Bezczelność – mówię – z waszej strony, że każecie mi moknąć na deszczu całe dwie godziny!

Chcę wtargnąć do wnętrza, a tu nagle – stój! Zatrzaśnięto mi drzwi przed nosem.

Co począć dalej? Niedobrze. Wracać z pustymi rękoma? Wstyd mi przed sobą i przed ludźmi. Przecież nie jestem byle kim w naszym miasteczku. A poza tym, serce mi się kraje, gdy pomyślę o dziecku... Ale – jak to się u nas mówi – Bóg pamięta o małuczkich.

Patrzę – a tu nadjeżdża karetą zaprzężoną w cztery konie. Staje przed bramą bogacza. Wnet się dowiedziałem od woźnicy, czyja to karetą i po kogo przyjechała. Naturalnie, że to konie Borodenki, a przyjechały po profesora. Mają go odwieźć na dworzec.

Jeżeli tak, myślę sobie, to szczęśliwie się składa. Doskonale! I nim zdążyłem się obejrzeć, otwierają się drzwi i ukazuje się w nich sam profesor. Drobny staruszek o twarzy anioła. Za nim kroczy bogacz Icek Borodenko z obnażoną głową. A za nimi postępuje ten drażal z czerwoną gębą i wynosi walizę profesora. Było na co patrzeć! Niech mnie Bóg skarże, jeśli ten bogacz nie miał na sobie całkiem ordynarnej kurtki, takiej, jaką się nosi u nas, w Kodniach. Ręce trzymał w kieszeniach i patrzył zezem. Stoję i myślę: „Ojczy w niebiosach – i to ma być milioner? Niesprawiedliwe bywają Twoje wyroki...”

Ujrzawszy mnie stojącego przy drzwiach, spojrział na mnie z ukosa i pyta:

– Czego wam trzeba?

Odpowiedziałem mu:

– Tak i tak. To ja właśnie przywiozłem list od naszego rabina.

Zdziwił się:

– Od jakiego rabina?

Słyszycie? Udaje, że nie wie!

– Od jakiego rabina? Od rabina z Kodni – mówię. – Jestem z tamtych stron i specjalnie przyjechałem z Kodni do profesora, ażeby raczył – powiadam – tym samym pociągiem wstąpić na kwadrans do mnie. Dziecko mam, nie daj Boże, chore...

Tymi oto słowy przemówiłem do bogacza. Nie przesadziłem nawet o włos. Na co liczyłem? Liczyłem na to, że pod wpływem nieszczęścia, jakie go spotkało, zmięknie jego serce i ulituje się nad biednym ojcem. Jaki był rezultat? Nie odrzekł ani słowa, zerknął tylko na draba z czerwoną gębą, jak gdyby chciał powiedzieć: „Może sprzątniesz z drogi tego Żydka?”...

Profesor tymczasem usadowił się z walizą w karecie. Jeszcze chwila – i zniknie bez śladu! Co czynić? Zrozumiałem, że nic tu nie wskóram, i postanowiłem: co ma być, niech będzie, muszę ratować syna! Zebrałem wszystkie siły i buch! – pod konie...

Czy przyjemnie mi było pod kopytami końskimi? Nie wiem. Nie pamiętam nawet, jak długo leżałem na bruku i czy w ogóle leżałem. Wiem tylko, że to nie trwało dłużej niż moje opowiadanie...

A gdy otworzyłem oczy, staruszek profesor stał przy mnie.

– Co się stało? Biedaczysko!

Prosi, abym mu wszystko opowiedział i nie drżał przed nim. Bogacz sterczał przy drzwiach i zerkał na mnie zezem, a ja mówiłem. Oprócz żydowskiego nie znam dobrze innego języka, ale wtedy jakiś duch wstąpił we mnie – i mówiłem! Opowiedziałem mu wszystko, co miałem na sercu. Powiadam: tak i tak. Słuchaj, profesorze, może ci sążone, że masz mi dziecko uzdrowić – mojego jedynaka, który z sześciorga pozostał przy życiu... A jeśli chodzi

o zapłatę, to mam w majątku całą dwudziestorublówkę... Nie moją, broń Boże, bo skąd do mnie pieniądze? To są pieniądze mojej żony na zakup towaru do sklepiku. Zabrałem je. Do licha – powiadam – z całym sklepikiem, byleby dziecko ratować...

Zacząłem grzebać w kieszeni, żeby wyciągnąć dwudziestorublówkę. Wtedy profesor położył mi rękę na ramieniu.

– Nie trzeba! – powiedział. I kazał mi wejść do karety – obym tak dożył dnia, kiedy mój syn wyzdrowieje, że nie kłamię!... Niech szlag trafi tego Icka Borodenko, nie godzien patrzeć na profesora! O włos, a byłby mnie zamordował – bez noża! Dobrze, że Wiekuisty mi dopomógł, udało się... Ale mogło się stać inaczej. I co pan na to?

W wagonie wszczął się ruch i mój sąsiad podbiegł do konduktora.

– Kodnie?

– Kodnie.

– Bądź pan zdrow! Życzę szczęśliwej drogi... A nie wygadaj się pan czasem, z kim jadę. Nie chcę, aby się dowiedzieli, że jadę z profesorem. Będzie zbiegowisko!...

To wszystko szepnął mi na ucho, ucisnął rękę – i znikł. Dopiero w parę minut potem, gdy pociąg ruszył z miejsca, ujrzałem przez okno trzęsący się wehikuł zaprzężony w parę starych szkap. W wehikule siedział staruszek – maleńki, siwiutki, ze złotymi okularami i wesołą, różową twarzą. Naprzeciw niego, wciśnięty w kąć, mój sąsiad wpatrzony w twarz profesora. Przymilał się do staruszka, twarz jego jaśniała, a oczy jak gdyby chciały wyskoczyć z orbit. Żałowałem, że nie jestem fotografem i nie mam aparatu. Chciałoby się utrwalić na kliszy tego Żyda. Niechby cały świat się dowiedział, jak wygląda szczęśliwy człowiek – najszczęśliwszy człowiek w Kodniach.

STACJA BARANOWICZE

Było nas ogółem kilkudziesięciu Żydów i siedzieliśmy w wagonie trzeciej klasy. Ściśle biorąc siedzieli tylko ci, którzy zawczasu zdobyli sobie miejsca. Inni stali, oparci o ścianki przedziałów, niemniej jednak – na równi z siedzącymi – brali udział w rozmowie. A rozmowa była wielce ożywiona. Wszyscy, jak zwykle, mówili jednocześnie.

Działo się to z rana. Kompania się wyspała, pomodliła, zakąsiła coś niecoś i paląc papierosy zdradzała ochotę do pogawędki. O czym? O czym tylko chcecie. Każdy starał się opowiedzieć coś nowego, coś, czego by słuchano ze szczególnym zainteresowaniem. Nikomu jednak nie udało się skupić ogólnej uwagi na jednym temacie. Co chwila zmieniano przedmiot rozmowy. Przed chwilą mówiono o urodzaju, o pszenicy i owsie, aż tu wyskakuje nowy temat: wojna. Po pięciu minutach zapomniano o wojnie, rozmówcy wspominają rewolucję. Od rewolucji już tylko niewielki skok do konstytucji, a stąd do prześladowań, pogromów, hec antyżydowskich, wysiedleń ze wsi i emigracji do Ameryki... Poruszano również sprawę aresztowań, wywłaszczeń, napomykano o stanie wojennym, głodzie, cholercie, Puryszkiewiczu i Azefie⁴.

– Azef!

Ktoś wymówił to słowo, ktoś wymienił to nazwisko i wnet w całym wagonie zakipiowało: Azef i znów Azef, jeszcze raz Azef i Azef – bez końca.

– Nie bierzcie mi tego za złe, ale muszę wam powiedzieć, że jesteście po prostu głupcami. Podnieśliście krzyk: Azef! Tfu! Tyle hałasu z powodu Azefa? A kim jest Azef? Nicponiem, łobuzem, smarkaczem, skarżypyta, zerem! Także mi coś! Jeśli mnie grzecznie poprosicie, to opowiem wam historię o pewnym denuncjancie z Kamińska – jednym z naszych – a przyznacie mi sami, że Azef jest wobec niego szczeniakiem.

Z taką to perorą wystąpił pasażer, jeden z tych, co nie mając miejsca opierali się o półki i poręcze ławek. Odwróciłem głowę i podniosłem nań oczy. Był to tęgi gość w jedwabnym, odświeżonym kaszkiecie, o okrągłej, czerwonej twarzy, wesołych oczach i prawie bezzębnych ustach. Nie miał przednich zębów i dlatego litery „s”, „z” i „c” wymawiał nieprawidłowo. Z tego też powodu zamiast „Azef” mówił „Ażef”.

Spodobał mi się od pierwszego wejrzenia. Podobał mi się jego sposób mówienia, szerokość gestów i to, że wszystkich pasażerów nazwał głupcami. Zazdroszczę takim ludziom.

Otrzymawszy od Żyda z Kamińska przydomek „głupców”, pasażerowie osłupieli, jakby ich kto zimną wodą oblał. Rychło jednak oprzytomnieli i wymieniając między sobą spojrzenia zwrócili się do mówcy:

– Chcecie, abyśmy was prosili...

– Owszem, prosimy. Opowiedzcie mam, co się zdarzyło w Kamińsku!

– Ale proszę usiąść... Powiadacie, że nie ma miejsca? Ano, Żydzi, posuńcie się trochę!

Pasażerowie, stanowiący już i tak zwartą gromadę, ścisnęli się jeszcze bardziej i wnet znalazło się miejsce dla Żyda z Kamińska. Ten zaś rozsiadł się wygodnie – niczym starosta na chrzcinach, w chwili gdy dziecko wnoszą do pokoju. Zsunął kaszkiet na tył głowy, zakasał rękawy i zaczął mówić tubalnym głosem:

– Posłuchajcie uważnie, moi mili, tego, co wam opowiem. Nie jest to bowiem jakieś łgarstwo napisane w książce lub z palca wyssana bajka. Historia ta zdarzyła się u nas, właśnie w Kamińsku. Mój ojciec nieboszczyk sam mi powiadał, że nieraz słyszał ją z ust swego ojca nieboszczyka. Ponadto cała ta historia była opisana w starej księdze, która już dawno spłonęła. Podobno były w niej opowiadania o wiele piękniejsze od tych, które się drukuje w dzisiejszych książkach i gazetach.

⁴ Puryszkiewicz i Azef – znani rosyjscy prowokatorzy i działacze antysemitów.

Krótko mówiąc – działo się to za panowania Mikołaja, w czasach ucisku. Dlaczego się śmiejecie? Czy wiecie, co to znaczy ucisk? To znaczy, że ludzi bito, męczono – a już najbardziej kalistrojem. Co to takiego ten „kalistroj”? Nie wiecie, więc wam objaśnię. Wyobraźcie sobie dwa szeregi żołnierzy trzymających w ręku żelazne szpicruty, a wy przechodząc między nimi raz, drugi i trzeci – odziani, z przeproszeniem, jak was matka na świat wydała – i robią z wami to, co nauczyciel w chederze⁵, gdy nie chcieliście się uczyć... Pojęliście zatem, co znaczy „kalistroj”? Teraz słuchajcie dalej.

Razu pewnego nadszedł rozkaz od gubernatora – Wasilczykow był wtedy gubernatorem – by poddać plagom Żyda imieniem Kiwka. Kim był ów Kiwka i co takiego przeskrobał, trudno powiedzieć. Wiem tylko tyle, że posiadał szynk. Człek niepozorny i do tego podeszły w latach kawaler. Licho go skusiło, że pewnej niedzieli wdał się z chłopami w pogawędkę na temat Pana Boga. Nasz Bóg, wasz Bóg – od słowa do słowa, doszło do kłótni. Zjawił się urzędnik, policja, spisali protokół. Weźże, głupcze, wiadro wódki, poczęstuj urzędnika, a z protokołu będą nici. Ale Kiwka był uparty. Powiedział: „Nie! Słowa swego nie cofnę!” Myślał, że gdy sprawa oprze się o sąd, wlepią mu trzy ruble grzywny i koniec. Kto by się spodziewał, że za niemądre słowo skazą człowieka na plagi!

Jednym słowem, schwytano Żyda i wpakowano do więzienia, gdzie miał czekać na owe dwadzieścia pięć żelaznych różeg, wymierzonych z całą parada, jak Bóg przykazał.

Zrozumiecie sami, co działo się z tego powodu u nas w Kamińsku. A kiedy to się zdarzyło? Akurat w nocy i właśnie w noc sobotnią. A gdy w sobotę rano zeszli się Żydzi w bóżnicę, już krążyła z ust do ust wiadomość o tym, że Kiwkę aresztowano.

- Skazano go na różgi!
- Na różgi?
- Dlaczego?
- Za co?
- Za głupstwo, za kilka słów...
- Żyd ma długi język, to prawda. Ale zaraz różgi?
- Jak to? Będą chłostać Żyda? Naszego Żyda z Kamińska?!

Wrzało w mieście niby w ulu przez cały dzień sobotni aż do wieczora. Wieczorem zaś, po zmówieniu ostatniej modlitwy, zebrała się gromada Żydów u mego dziadka, reb Nisela Szapiro. Zaczęli krzyżeć, hałasować, oburzać się, że dziadek mój znosi taką hańbę, że trzeba coś zrobić, poradzić... Przecież to nasz Żyd z Kamińska!

Spytacie zapewne, dlaczego po radę i pomoc biegli do mojego dziadka? Nie są to żadne przechwałki, ale muszę wam powiedzieć, że dziadek mój (niech pamięć jego będzie błogosławiona!) był najbogatszym, najdostojniejszym i najbardziej szanowanym Żydem w miasteczku, a i u władzy miał największy posłuch.

Wysłuchawszy, o co chodzi, podniósł się z miejsca i z godnością przeszedł się kilka razy po pokoju (miał taki zwyczaj) namyślając się, co robić. Później przystanął i rzekł:

– Dzieci! Wracajcie spokojnie do waszych domostw. Wszystko się dobrze skończy. Dotychczas żaden Żyd w Kamińsku nie był chłostany i Bóg da, że nadal tak będzie!

W te słowa odezwał się do nich mój dziadek nieboszczyk, a w miasteczku wiadano, że Nisel Szapiro nie rzuca słów na wiatr. W jaki sposób dotrzyma przyrzeczenia, nikt nie śmiał pytać. Bogacz ustosunkowany, z głową na karku – dla takiego mają ludzie szacunek! I cóż myślicie? Tak się stało, jak dziadek przepowiedział. Posłuchajcie dalej!

Widząc, że słuchacze są mocno zaciekawieni i chcieliby się czym prędzej doczekać końca opowiadania, Żyd z Kamińska przerwał na chwilę, wyciągnął z kieszeni papierośnicę i powoli zapalił papierosa. Kilku pasażerów równocześnie podało mu ogień. Taki respekt wzbudził w

⁵ C h e d e r – żydowska szkołka religijna.

wagonie! Dopiero gdy zapalił papierosa i zaciągnął się dymem, jął z większą jeszcze swadą kontynuować rozpoczęte opowiadanie:

– Teraz dowiecie się, jak postępuje mądry Żyd. Mam na myśli mego dziadka, niech imię jego będzie błogosławione! Po długim namyśle powziął decyzję. Chodziło właściwie o drobnośćkę. Umówił się z władzą, że ten skazaniec na chwilkę umrze w więzieniu. I cóż to komu zaszkodzi?

Dlaczego spoglądacie na mnie ze zdziwieniem? Nie rozumiecie? Czy też obawiacie się, że go tam, broń Boże, otrują? Nie bójcie się! U nas nie truje się ludzi. Cóż się tedy stało? Załatwiono sprawę o wiele sprytniej. Stała umowa z władzą, że skazany położy się spać zdrów jak ryba, a z rana obudzi się martwy. Miarkujecie? Czy trzeba wam to łopatą kłaść do głowy?

I tak się też stało. Pewnego dnia z samego rana przychodzi do mego dziadka dozorca więzienny z papierkiem: „Ubiegłej nocy zmarł w więzieniu Żyd Kiwka.” A że dziadek mój jest przewodniczącym bractwa pogrzebowego „Ostatnia Posługa”, powinien zająć się obrządkiem pogrzebania zmarłego.

Jak wam się podoba taka robota? Przyjemny obowiązek, co? Ale poczekajcie, na tym jeszcze nie koniec. Łatwiej to powiedzieć niż wykonać.

Zrozumcie, że nie był to pogrzeb zwyczajnego Żyda. W sprawę byli wmieszani żołnierze... gubernator... chłosta... Bagatela! Przede wszystkim trzeba było pilnować, aby trupa nie zawieźli do prosektorium. W tym celu należało uzyskać dokument od lekarza więziennego, że oglądał zwłoki i stwierdził śmierć naturalną od udaru sercowego. Na tymże papierze znalazły się również inne niezbędne podpisy – i koniec. Nie ma Kiwki. Kiwka umarł.

Domyślcie się chyba, ile pieniędzy pochłonęła ta sprawa. Życzę każdemu z was takiego zarobku miesięcznego. Może sądzicie, że przesadzam? W takim razie przyjmijcie mnie na współnika...

I kto to wszystko wykonał? Mój dziadek nieboszczyk. Człowiek poważny i odpowiedzialny, załatwił sprawę krótko, szybko i gładko. Tegoż wieczora udali się wysłańcy „Ostatniej Posługi” z noszami do więzienia i zabrali rzekomego trupa. Odprowadzono go z całą paradą na miejsce wiecznego spoczynku. Na przedzie szli żołnierze, a za nimi bez mała całe miasto. Kiwka na pewno nigdy nie marzył o takim pogrzebie. Kiedy kondukt doszedł do cmentarza, żołnierzy sownie poczęstowano wódką, „zmarłego” zaś wniesiono na podwórze domu przedpogrzebowego. Tutaj stał już wóz zaprzęzony w cztery ogniste rumaki. Zanim zdołał się kto obejrzeć, już nasz nieboszczyk, moi mili, gnał ku rogatkom... Przebył szczęśliwie drogę do Radziwiłłowa i stamtąd wio! – przez granicę do Brodów.

Całe miasteczko nie zmrużyło oka, póki nasz nieboszczyk nie dojechał do Radziwiłłowa. Wszyscy chodzili jak bez głowy. A najbardziej niepokoił się mój dziadek. Dlaczego? Też mi pytanie! Jeżeli schwytają zmarłego, to znaczy Kiwkę, zanim znajdzie się za rogatką, i sprowadzą go żywego i zdrowego – wtedy całe miasteczko zesłane zostanie na Sybir...

Jednakowoż Bóg dopomógł, ogniste rumaki wróciły z Radziwiłłowa, a woźnica przywiózł list pisany własnoręcznie przez Kiwkę: „Z boską pomocą przyjechałem do Brodów.” W miasteczku zapanowała radość. Urządzono ucztę w domu mego dziadka, a na ucztę przybyli: naczelnik więzienia, lekarz, policjant i inni urzędnicy. Pili, hulali, muzyka rżnęła od ucha, wódka lała się strumieniami. Powiem tylko tyle, że naczelnik więzienia może dziesięć razy całował się z moim dziadkiem i z całą rodziną. Tańce trwały do rana, a rano tańczono już bez przesady po dachach dziadkowych zabudowań. Małeż to było święto? Wybawiono Żyda od chłosty!

Zdawałoby się, że wszystko w porządku. Prawda? Poczekajcie chwilkę, teraz dopiero zaczyna się właściwe wesele. Jeśli chcecie wysłuchać mnie do końca, proszę o trochę cierpliwości. Muszę zejść na tej stacji i spytać zawiadowcę, jak długo jeszcze będziemy jechać do Baranowicz. W Baranowiczach muszę bowiem wysiąść i przesiąść się na inny pociąg...

Trudno. Trzeba czekać. Żyd z Kamińska wysiadł, aby zasięgnąć informacji co do Baranowicz, a kompania tymczasem rozgadała się na temat jego osoby.

- Jak wam się podoba?
- Porządny człowiek.
- Umie gadać.
- Język ma giętki.
- A opowieść?
- Piękna!
- Tylko że krótka...

Znajdują się i tacy, którzy twierdzą, że u nich również zdarzyła się podobna historia. Ściśle biorąc, nie całkiem podobna, ale coś w tym rodzaju. Więc każdy chce opowiedzieć swoją. W wagonie robi się gwarno jak na jarmarku.

Nareszcie wraca Żyd z Kamińska. Od razu zapada cisza. Każdy wyteęza słuch, aby nic nie uронić z tej ciekawej opowieści.

– Gdzież to zatrzymaliśmy się? Aha! Pozbyliśmy się tedy Żyda Kiwki, niech mu ziemia lekką będzie...

Sądźcie zapewne, że na tym koniec? Mylicie się, moi drodzy! Po upływie pół roku – już nie pamiętam dokładnie – nasz Kiwka rozmyślił się i przysłał list adresowany do mego dziadka:

„Po pierwsze, jestem, chwała Bogu, zdrow, czego i wam z całego serca życzę. A po drugie, zostałem bez grosza przy duszy i bez zajęcia wśród samych Niemców. Ja nie rozumiem ich języka, a oni nie rozumieją mojej mowy. Zarobków żadnych tu nie ma, choć zdychaj z głodu! Z tego więc powodu...”

Rozumiecie? To znaczy, żeby mu przysłać pieniądze! Naturalnie, że uśmiano się z jego listu i podarto go na strzępy. Zaledwie minęły trzy tygodnie, nadszedł nowy list od Kiwki, adresowany do mego dziadka. I znów „z tego powodu”, „z owego powodu”, ale z dodatkiem argumentów. Jak to? – pisał Kiwka. – Po co się tak za mną ujęli? Wolałby już znieść chłostę. Pręgi dawno byłyby zagojone, a on zarabiałby jak dawniej. I nie musiałby się poniewierać wśród Niemców i puchnąć z głodu...

Po otrzymaniu takiego listu mój dziadek wezwał najpoważniejszych Żydów z miasteczka.

Co robić? Ziomek nasz umiera z głodu, trzeba mu posłać trochę pieniędzy...

A gdy reb Nisel Szapiro wyrzekł takie słowa nie wolno być sknerą. Urządzono składkę (najwięcej dał sam dziadek) i wysłano Kiwce okrągłą sumkę. Po kilku dniach zapomniano o tym, że mieszkał tu kiedyś Kiwka i co się z nim stało. Ale Kiwka, moi drodzy, nie zapomniał o miasteczku.

Po upływie pół roku czy po roku – nie pamiętam dokładnie – nadszedł list od Kiwki. Znowu adresowany do mego dziadka. I znów „z tego powodu”, ale tym razem z wiadomością o bliskim weselu.

„Ponieważ, z boską pomocą, zaręczyłem się, a narzeczona moja jest jedynaczką i pochodzi z dobrej rodziny...”

Przeto prosi o przysłanie mu dwustu guldenów, które jako posag ma złożyć w dniu ślubu. „A jeżeli mi nie przysłacie, to z całego ożenku nic nie będzie...” A to nieszczęście! Kiwka zostanie starym kawalerem!

Powiadam wam, że list ten obnoszono z domu do domu i ludziska pokładali się ze śmiechu. Nic innego nie słyszałeś w miasteczku, jak słowa:

- Szczęść Boże! Kiwka się zaręczył!
- Słyszałeś? Dwieście guldenów posagu!

– Jedynaczka... Cha, cha, cha! Niedługo się śmiano, albowiem po kilku tygodniach nadszedł znów list od Kiwki, tym razem krótki i rzeczowy:

„Dziwi mnie, że nie przysłano mi dotychczas dwustu reńskich, które przyrzekłem już swej narzeczonej. Jeżeli mi natychmiast nie wyślecie pieniędzy, małżeństwo moje nie dojdzie do skutku, a mnie nie pozostanie nic innego, jak utopić się w stawie albo wrócić do domu, do Kamińska.”

Ostatnie słowa trafiły do rozumu Żydów kamińskich i przestano się śmiać. Tegoż samego dnia wieczorem odbyło się u mego dziadka zebranie najpoważniejszych Żydów z miasteczka. Postanowiono zebrać pieniądze dla Kiwiki. Nie było innej rady! I w dodatku wypadało mu napisać list z życzeniami długich i szczęśliwych lat, liczego potomstwa i tak dalej... Na co liczone? Ożeni się, zaprzętnie sobie głowę rodzina, a w międzyczasie zapomni, że istnieje na świecie Kamińsk.

I jak sądzicie? Nie upłynęło jeszcze pół roku czy rok – nie pamiętani dokładnie – aż tu nadchodzi nowy list:

„Ponieważ ożeniłem się i Bóg mi za żonę dał kobietę, jakiej życzyłbym każdemu z was...” Tylko w czym sęk? Kobieta nie może posiadać wszystkich zalet. Ma tedy ojca – niech go lichy porwie! Kłamca, krętacz, oszust, istny bandyta. „Wyłudził ode mnie owe dwieście reńskich i wraz z żoną wyrzucił mnie na ulicę. Przeto wyślijcie mi znów dwieście guldenów. W przeciwnym razie będę zmuszony utopić się w stawie lub wrócić do domu, do Kamińska.”

Przebrała się miara cierpliwości. Podwójny posag?! Toż to przecież nadużywanie naszej dobroci!... Uradzono nie odpowiadać na ten list. Kiwka czekał tydzień, dwa, a po upływie trzeciego tygodnia przysłał list adresowany do mego dziadka: Tak i tak... Co sobie myślą? Dlaczego nie otrzymuje dwustu reńskich? Poczeka jeszcze półtora tygodnia, a jeśli do tego czasu nie otrzyma pieniędzy, to mogą oczekiwać go w Kamińsku w najbliższym czasie. List kończył się słowami: „Niebywała bezczelność!”

Wszyscy byli oburzeni do żywego. Jednakowoż – co począć? Znowu zebrano się u dziadka i znów co najbogatsi podjęli się składki w miasteczku. Ludziska ociągali się wprawdzie, nikt nie okazywał zbytnej ochoty odejmować sobie od ust i ofiarować pieniądze... Ale trudno o wymówkę. Skoro reb Nisel każe, nie można być sknerą. Jednak każdy przysięgał sobie w duchu, że daje po raz ostatni.

Dziadek mój też sądził, że to się więcej nie powtórzy. I wysłał mu pieniądze z upomnieniem, że to ostatni raz i żeby nie śmiał w przyszłości o nic prosić.

Chyba dość wyraźnie dano temu złodziejowi do zrozumienia, prawda? Tymczasem pewnego dnia, w wigilię świąt, otrzymał mój dziadek list od Kiwiki. Cóż znowu? „Ponieważ zawarłem tu znajomość z pewnym uczciwym i szlachetnym Niemcem i przystąpiłem do interesu, a ów interes, sklep naczyń fajansowych, jest przedsiębiorstwem dobrym i korzystnym, z którego można się przyzwoicie utrzymać – proszę o przysłanie czterystu pięćdziesięciu reńskich. I to natychmiast, nie zwlekając. Bo wspólnik czekać nie będzie, znajdzie sobie innego wspólnika. A jeżeli, broń Boże, z tego interesu nic nie będzie, zostanę bez zarobku. A gdy zostanę bez zarobku, będę miał jedynie do wyboru: albo żywcem utopić się w stawie, albo wracać do domu, do Kamińska.”

List kończył się ostrzeżeniem, że jeśli w przeciągu dwóch tygodni nie otrzyma pieniędzy, owych czterystu pięćdziesięciu reńskich, będzie to ich kosztowało znacznie drożej. Będą go musieli przewozić z Brodów do Kamińska i z powrotem z Kamińska do Brodów – na własny koszt!

Wyobraźcie sobie, jak niewesołe były święta w naszym miasteczku i jak bardzo martwił się mój dziadek. On, nieborak, miał chyba najwięcej powodów do zmartwienia.

Dlatego też, gdy święta miały się ku końcowi, zaczęto ze wszech stron szemrać i narzekać:

- Jak długo ten łobuz będzie wyciągał z nas pieniądze?
- Wszystko ma swoje granice, nawet anielska cierpliwość!
- Wasz Kiwka puści nas z torbami!

Tak mówiono w miasteczku. A dziadek odpowiedział na to:

– Dlaczego to ma być mój Kiwka?

Na to oni:

– Czyżże to był pomysł, żeby ten bękart dostał ataku apopleksji w więzieniu?... Z tych słów wywnioskował mój dziadek, a był on mądrym staruszką, że w miasteczku nie zbierze więcej ani grosza. Zwrócił się tedy do władzy – przecież jej również zależało na tym, aby zatuszować sprawę Kiwki! – niechże coś złoży na ten cel... Gdzież tam! Ani im się śni!

A więc musiał sięgnąć do własnej szkatułki, żeby wyjąć stamtąd z trudem uciulane pieniądze i posłać je temu złodziejowi. Do pieniędzy załączył list, w którym zwymyślał Kiwkę, ile wlezie. Nazwał go hultajem, bandytą, zbójem, zdrajcą Izraela, wyrzutkiem społeczeństwa, pijawką i krwiopijcą, chuliganem, bękartem spod płotu... Ho, ho – mój dziadek umiał pisać! I dodał na koniec, żeby się więcej nie ważył posyłać listów do niego ani do nikogo z miasteczka, bo już nie ma mowy o żadnych pieniądzech. Przypomniał mu jeszcze Boga, który wszystko widzi, wszystko pamięta i za wszystko zapłaci. Zakończył list błogosławieństwem (miał jednak serce żydowskie) i prośbą, aby ulitował się nad starcem i nie rujnował jego i całego miasteczka, a Bóg go wspomóż i poszczęści mu się na każdym kroku. Taki to list wysłał mój dziadek i podpisał go imieniem i nazwiskiem: Nisel Szapiro.

Zaraz się przekonacie, że palnął największe głupstwo...

Tu Żyd kamiński przerwał opowiadanie, wyjął z kieszeni papierośnicę, zapalił papierosa, zaciągnął się raz, drugi i trzeci. Zdawał się nie zwracać uwagi na zniecierpliwienie słuchaczy, którzy z ciekawości o mało nie wylazili ze skóry.

Potem, gdy wypalił papierosa i porządnie się wykaszłał, wytarł głośno nos i kontynuował w tym samym tonie co poprzednio:

– Może myślicie, że ten łotr bardzo się przejął listem mego dziadka? Bynajmniej. Upłynęło pół roku czy rok i znów nadeszło pismo od tego nędznika:

”To i owo... Wspólnik mój, Niemiec, okpił mnie i wyrzucił ze sklepu. Chciałem nawet podać go do sądu, oskarżyć, ale nic z tego nie wyszło. Procesować się z Niemcem to znaczy pożegnać się z życiem. To są tacy krętacze, że lepiej wcale ich nie znać! Wynająłem sobie sklep tuż obok jego sklepu i zacząłem prowadzić handel, również fajansami... Może, z boską pomocą, uda mi się Niemca wykurzyć! Lecz na to, żeby mój plan mógł się udać, potrzebne mi są pieniądze – najmniej tysiąc reńskich. Z tego więc powodu...”

Taki list przysłał Kiwka i zakończył go słowami: „Jeżeli w przeciągu ośmiu dni nie otrzymam pieniędzy, wyślę wasz list ostatni, podpisany waszym pełnym imieniem i nazwiskiem, do gubernatora i opowiem mu przy tym całą historię od a do zet: jak to dostałem w więzieniu apopleksji, jak to na cmentarzu wyzdrowiałem, jak przywieźli mnie do Brodów i jak mi przysyłano pieniądze.

Wszystko opiszę i opowiem. Niechaj wiedzą, że Bóg jest wielki i że Kiwka żyje...”

Jak się wam podoba taki donosiciel?

Gdy list dotarł do rąk dziadka, ten przeczytał go i zemdłał. Paraliż odjął mu... Ludzie, cóż to? Stajemy?

Gdzie jesteście?

– Stacja Baranowicze!... Baranowicze! – wykrzykiwali konduktorzy uwijając się w pośpiechu po peronie.

Słyszając, że to Baranowicze, nasz towarzysz podróży zerwał się na równe nogi, schwycił swą paczkę – worek napełniony Bóg wie czym – i rzucił się do wyjścia. Jeszcze chwila – a oto jest już na peronie, kręci się niespokojnie i przepycha, a zaglądając ludziom w oczy, pyta:

– Baranowicze?

– Baranowicze.

– Do widzenia!

– Do widzenia!

Wielu z nas, a między nimi i ja, pobiegło za nim i schwyciwszy za poły, wołało:

- Wujku! Nie puścimy was! Musicie powiedzieć, co było dalej?
- Co dalej? Jaki koniec? To dopiero początek... Puśćcie mnie! Czego chcecie? Czy chcecie, żebym przez was spóźnił się na pociąg? Dziwni ludzie! Przecież słyszeliście wyraźnie: Baranowicze, stacja Baranowicze!

I zanim zdążyliśmy coś odpowiedzieć, zniknął nam z oczu. Przeklęta stacja te Baranowicze!

PRZYJĘTY

Skończyliście? A ja wam opowiem coś ciekawszego. Był u nas taki bogacz, potentat, nazywał się Finkelsztajn. Miał dwóch synów. Gdybym posiadał jego pieniądze, plunąłbym na wszystko! A ile go to kosztowało! Życzę wam, byśmy do spółki choć cząstkę tego zarobili...

– Do licha.! Dawno już to powiedziałem. Niedługo czekać, a większość młodzieży się ochrzci.

– I ja to samo twierdzą. Był u nas niejaki Marszak, który objechał pół świata. Nigdzie go nie chciano przyjąć. Otruł się...

– Nie skłamię, jeśli powiem, że gdy Żydzi zaczną przyjmować chrzest, to nie zostanie ani jednego! Cóż myślicie? Czy starczy sił, by znosić te wieczne prześladowania z procentami i okólnikami? Co dzień nowy okólnik. Ilu Żydów, tyle okólników. Dojdzie do tego, że zupełnie przestaną przyjmować. Weźcie, na przykład, taką Spałę. Żydowskie miasteczko, prawda?

– Weźmy, na przykład, Niemirów. Oto mam list z Niemirowa. Donoszą mi o brzydkich rzeczach...

– A w Dubnie czy lepiej?

– Co się zdarzyło w Dubnie?

– A w Antoniewie? W Antoniewie przyjmowano rokrocznie mniej jak trzech Żydów.

– Co tam Antoniew! Weźcie, na przykład, Tomaszpol. W Tomaszpolu podobno nie przyjęto w tym roku Żyda nawet na lekarstwo...

– A u nas przyjęto w tym roku osiemnastu Żydów.

Głos ten odezwał się z góry. Moi dwaj sąsiedzi i ja zadarliśmy głowy. Wzrok nasz zatrzymał się na górnej ławce, z której zwieszały się nogi obute w kalosze. Należały one do czarnego, kudłatego Żyda o zaspanej, jakby spuchniętej twarzy.

Moi towarzysze obrzucili pasażera o spuchniętej twarzy zdziwionymi spojrzeniami, jak gdyby to było rzadko u nas widywane stworzenie. Potem nagle ożywili się i z błyszczącymi oczyma zadali pytanie:

– Powiadacie, że u was przyjęto osiemnastu Żydów?

– Osiemnastu chłopaków, a między nimi i mojego,

– I waszego przyjęli?

– Jeszcze jak!

– Gdzie to się zdarzyło?

– U nas, w Małej Pierszczepience.

– W jakiej Pierszczepience? Gdzie to się znajduje?

Pytający zerwali się na równe nogi, spojrzeli jeden na drugiego, a potem na pasażera z górnej ławki. Pasażer patrzył na nich z góry – zaspanymi oczyma.

– Mała Pierszczepienka? Nie wiecie? To takie miasteczko. Nie słyszeliście o nim? Istnieją dwie Pierszczepienki. Duża i Mała. Ja jestem z Małej Pierszczepienki.

– Jeśli tak, to zapoznajmy się... Zejdźcie do nas! Co tam robicie sami na poddaszu?

Właściciel nóg w kaloszach, stękając, zszedł z góry. A dwaj nasi towarzysze posunęli się i umieścili go między sobą.

Potem osaczyli go pytaniami jak zgraja głodnych wilków.

– Mówcie więc, że waszego przyjęli?

– Jeszcze jak!

– Powiedźcie, przyjacielu, jaki przebieg miała cała sprawa? Czy daliście łapówkę?

– Łapówkę? Broń Boże! Nie wolno nawet wspominać o pieniądzach. Dawniej brali, i to немало... Ho! ho! Ludzie z odległych okolic przyjeżdżali do nas. Wiedziano, że w Pierszczepience można wszystko wskórać za pieniądze. Ale ktoś zadenuncjował i od tego czasu – na moje szczęście! – przestali brać pieniądze.

– A więc co? Protekcja?

– Jaka tam protekcja! Dogadali się między sobą, że jeżeli Żyd – to przyjęty... Przyjmować i basta!

– Naprawdę? Co też mówicie? Czy to nie żarty?

– Dlaczego żarty? Czy wyglądam ma żartownisia?

Dwaj pytający wymienili pomiędzy sobą spojrzenia, jeden zdawał się czytać w twarzy drugiego. A ponieważ nic nie mogli wyczytać, zapytali trzeciego:

– Chwileczkę. Powtórzcie, proszę... Skąd pochodzicie?

Trzeci obraził się:

– Mówiłem wam już trzy razy, że z Małej Piereszczepienki.

– Nie miejcie mi tego za złe, ale doprawdy pierwszy raz w życiu słyszę o tym mieście.

– Cha, cha, cha! Czy to można nazwać miastem? Też mi miasto! Toż to miasteczko, a raczej wioska.

– A jednak twierdzicie, że u was w... jak to się nazywa? Pier... pier...

Trzeciego ogarnął już gniew.

– Dziwni ludzie! Nie umiecie mówić czy co? Piereszczepien...

– No, no, nie gniewajcie się!

– Nie gniewam się wcale... Ale nie lubię, gdy kto tysiąc razy pyta o jedną rzecz!

– Nie miejcie nam za złe, ale trapi nas ta sama troska co i was. Zainteresował nas fakt, że kogoś przyjęli. Dlatego tak się dopytujemy. Tym bardziej że – prawdę mówiąc – nie wyobrażaliśmy sobie, iż u was, w takim małym miasteczku, może być gimnazjum.

Żyd z Piereszczepienki podniósł na nich zdziwione oczy i spytał:

– A kto wam mówił, że u nas jest gimnazjum?

Nasi dwaj pasażerowie mieli wielce zdumione miny.

– Przecież sami mówiliście nam, że waszego przyjęto w Piereszczepience?

Ów trzeci zaklął ze złości. Potem wstał i krzyknął w odpowiedzi:

– Przyjęto go do wojska! Do wojska! Do wojska!...

*

Na dworze dniało. Błękitna jasność wlewała się przez okna wagonu. Pasażerowie budzili się ze snu. Ten przeciąga się, ów pokaszluje, a inny porządkuje swoje walizy i szykuje się do wyjścia.

Nasi trzej towarzysze podróży nie siedzą już na jednej ławie. Nie znają się wcale. Jeden wtulił się w kąt, drugi z książką w ręku modli się żarliwie, trzeci – przyczyna nieporozumienia – zajada śniadanie. Ciekawe, jak ci trzej ludzie stali się sobie obcy. Nie mówią do siebie, unikają się wzajemnie oczami, jak gdyby wyrządzili sobie jakąś krzywdę lub jakby między nimi zaszło coś nieprzyjemnego...

CZŁOWIEK Z BUENOS-AIRES

Podróż koleją nie jest bynajmniej tak nudna, jak to się niektórym, wydaje. Wszystko zależy od towarzystwa. Czasami natkniecie się na kupca, który zna się na interesach. Wtedy godziny mkną niepostrzeżenie. Innym razem sąsiadem waszym jest nie kupiec, ale zwykły sobie człowiek, za to mądry, doświadczony, obyty w świecie. Z takim podróżować to prawdziwa przyjemność. Można się czegoś nauczyć, usłyszeć coś nowego. Czasem znów waszym towarzyszem jest człowiek ruchliwy, wesoły i rozmowny. Mówi tedy, mówi bez końca. Usta mu się nie zamykają. Opowiada o sobie i znowuż o sobie...

Z takim to pasażerem wypadło mi kiedyś jechać spory szmat drogi. Nasza znajomość zaczęła się tak, jak zaczynają się wszystkie znajomości w wagonie. Pada niewinne pytanie: „Czy nie wie pan, jaka to stacja?” albo: „Która godzina?”, lub: „Czy mogę prosić o ogień?” Zaprzyjaźniliśmy się bardzo prędko, jak gdyby nasza znajomość ciągnęła się od lat.

Na pierwszej stacji, na której pociąg zatrzymał się kilka minut, ujął mnie mój znajomy pod ramię, zaprowadził do bufetu i nie pytając nawet, czy piję, zamówił dwa kieliszki koniaku. Potem mrugnął na mnie, żebym sięgnął po widelec. Gdyśmy spożyli przekąskę, kazał podać dwa kufle piwa, zapalił papierosa – od tej chwili przyjaźń nasza stała się serdeczniejsza.

– Muszę powiedzieć panu otwarcie, bez komplementów – rzekł mój nowy przyjaciel siedząc już w wagonie – spodobał mi się pan od pierwszego wejrzenia, od chwili gdy pana poznałem. Kiedy spojrzałem po raz pierwszy na pana, pomyślałem sobie w duchu: oto jest człowiek, z którym warto pomówić, albowiem nie lubię, gdy kto siedzi jak ta kukła i milczy. A ja lubię pogadać z żywym człowiekiem. Dlatego właśnie kupiłem bilet trzeciej klasy, aby móc pogawędzić. Jeżdżę zwykle drugą klasą – a jak pan sądzi, czy mogę sobie pozwolić na pierwszą? Owszem, mogę również. Może myśli pan, że to przechwałki? Proszę zobaczyć...

Wyciągnął z zanadru portfel wypchany banknotami, uderzył nim po dłoni i schował do kieszeni.

– Nie bój się pan, to nie wszystko!

Patrzałem na niezwykłego pasażera i nie mogłem żadną miarą odgadnąć, ile też ma lat. Można było przypuszczać, że czterdzieści, a może dwadzieścia kilka. Ani śladu brody lub wąsów. Małe, roześmiane oczy. A sam był malutki, okrągły, ruchliwy, ubrany od stóp do głów modnie i elegancko – tak, jak ja to lubię. Biała koszula ze złotymi spinkami, piękny krawat z brylantową szpilką, granatowy garnitur z prawdziwego angielskiego szewiotu. Na nogach lakierki. Na palcu złoty pierścień z mieniącym się w słońcu brylantem. (Jeżeli jest prawdziwy, oceniam go na ładne kilkaset rubli!) Ubierać się wytwornie – powinno być ambicją każdego człowieka. Sam ładnie się ubieram i lubię eleganckich ludzi. Często wnioskuję z ubrania, kto jest chamem, a kto nie. Są wprawdzie ludzie, którzy twierdzą, że strój nie świadczy o człowieku. Można być eleganckim, a prostakiem z natury. Nie zgadzam się z nimi i rozumiem następująco: dlaczego każdy dąży do tego, żeby się ładnie ubrać? Dlaczego jeden nosi taki garnitur, a inny znów ubiera się inaczej? Dlaczego jeden kupuje sobie frak dyplomatyczny, drugi jedwabną kapotę, trzeci szary garnitur, czwarty szuka surduta, a piąty czerwonego munduru z białymi galonami?

Mógłbym wam przytoczyć więcej dowodów, ale myślę, że nie warto. Szkoda czasu. Wróćmy zatem do mego nowego znajomego i posłuchajmy, co nam opowie.

– Tak, tak, drogi przyjacielu! Widzi pan tedy, że mogę sobie pozwolić na drugą klasę. Ktoś by przypuszczał, że żałuję pieniędzy? Pluję na pieniądze! Ale uwierzy mi pan? Wolę trzecią klasę, bo sam jestem prostym człowiekiem i lubię prostych ludzi. Jestem demokratą. Zaczęłam swoją karierę z nizin, ot stąd! (Tu mój towarzysz wskazał ręką na podłogę, żeby mi unaocznili, skąd rozpoczął swą karierę.) Lecz rosłem coraz to wyżej. Nie od razu. Cierpliwości! Powolotku. Po kawałeczku. Z początku służyłem u kogoś. Służyłem – to zbyt słabe słowo. Najpierw byłem niewolnikiem. Gdy pomyślę niekiedy, kim byłem za lat dziecięcych, włosy

stają mi dęba na głowie. Nie mogę wprost myśleć o tym ani lat tych przypominać. Sądzi pan, że się wstydzę? Wprost przeciwnie. Ktokolwiek zapyta minie, skąd pochodzę, odpowiadam szczerze, że z Sonmaków. Czy wie pan, gdzie znajdują się Sonmaki? To takie miasteczko w Kurlandii, niedaleko od Mitawy – miasteczko tak malutkie, że mógłbym je śmiało dziś jeszcze kupić wraz z przedmieściami.

Być może, że dziś to miasteczko się zmieniło, rozrosło, rozbudowało – trudno mi powiedzieć. Ale za moich czasów Sonmaki posiadały jedną pomarańczę, która wędrowała od gospodyni do gospodyni na sobotni poczęstunek dla gości. W tych to Sonmakach spędziłem dzieciństwo o głodzie i chłodzie, dzieciństwo urozmaicone kuksańcami, razami, policzkami, świeczkami przed oczyma i sinymi pręgami na ciele. Najbardziej dawał mi się we znaki głód. Głód, wieczny niepokój i strach. Czy wie pan, co to jest żywica? Znajduje się ona na drzewach, a muzycanci używają jej zamiast kalafonii. Żywiłem się nią – czy pan mi uwierzy? – przez całe lato. Było to właśnie owo lato, kiedy mój ojczym wykręcił mi rękę i wygnał z domu, a ja musiałem uciekać z rodzinnego miasteczka do Mitawy. Ot, ta ręka, widzi pan? Do dziś dnia pozostał ślad...

Mój sąsiad zakasał rękaw i pokazując mi tęgie, zdrowe ramię, ciągnął dalej:

– Po włóczędze o głodzie i chłodzie, wałęsaniu się po rynsztokach i śmietnikach, obdarty i bosi, znalazłem, wreszcie posadę w Mitawie. Pierwszą posadę. Byłem przewodnikiem niewidomego kantora. Kantor ten był kiedyś sławny, ale na starość ośleplł i musiał zebrać po podwórzach. Ja właśnie prowadziłem go od domu do domu. Mogłoby mi się nieźle powodzić. Ale na to, żeby znosić kaprysy mego chlebobdawcy, trzeba było narodzić się aniołem. Nic mu nie dogadzało. Zdawało mu się wiecznie, że nie prowadzę go tam, gdzie należy. Dokąd zaś należało go prowadzić, nie wiem po dzień dzisiejszy...

Na domiar złego, opowiadał wszystkim – czy pan uwierzy? – że ojciec mój i matka przyjęły chrzest i że chcieli minie również ochrzcić, ale jemu udało się minie uratować i wyrwać z rąk niewiernych. Musiałem spokojnie wysłuchiwać tych oszczerstw nie pękając ze złości lub śmiechu. Co więcej: żądał, abym potwierdził jego słowa i udawał, że płaczę.

Wkrótce okazało się, że nie wytrzymam dłużej u mego ślepego chlebobdawcy. Rzuciłem go i uciekłem do Libawy. Długi czas włóczyłem się tam głodny i wynędzniały. Wreszcie przyłączyłem się do grupy emigrantów czekających na okręt. Mieli się udać w daleką drogę, aż do Buenos–Aires. Błagam ich, żeby mnie zabrali z sobą. Gdzież tam! To niemożliwe. To nie zależy od nich, lecz od komitetu. Jak postanowi komitet, tak będzie. Udałem się więc do komitetu, błagałem, mldlałem, płakałem i uzyskałem w końcu zgodę na podróż do Buenos–Aires.

Co to jest Buenos–Aires? Gdzie leży? Nie wiedziałem. Pojadą inni, pojedą i ja. Dopiero po przyjeździe do Buenos–Aires dowiedziałem się, że nie jest to cel naszej podróży, ale miejsce, z którego mamy wyruszyć w dalszą drogę. Rzeczywiście wysłano nas natychmiast dalej, aż do okolic, gdzie nie powstała ludzka noga. Wysłano nas do roboty...

Czy chce pan wiedzieć, jaka to była robota? Lepiej nie pytać. Nasi przodkowie w niewoli egipskiej nie pracowali tak ciężko jak my, a te męki, o których opowiada Hagada⁶, nie są nawet częścią tych, jakie przypadły nam w udziale. Nasi pradziadowie budowali z cegieł i wapna piramidy i posągi. Wielkie mi rzeczy! Ciekaw jestem, co by uczynili, gdyby im kazano gołymi rękami orać stepy porośnięte kłującą trawą – do spółki z ogromnymi wołami, których jedno poruszenie może zabić człowieka. A dzikie konie, za którymi trzeba pędzić z arkanem, i to setki wiorst? Moskity po nocach tną ciało, a żywisz się sucharami twardymi jak kamienie, robakami i spleśniałą wodą... Pewnego razu przejrzałem się w stawie i – czy uwierzy pan? – przestraszyłem się swego odbicia. Oczy spuchnięte. Ręce podrapane. Nogi we krwi. Obrośnięty jak niedźwiedź.

⁶ Hagada – legendarna księga opisująca wyjście Żydów z Egiptu.

– Czy to ty? Motel z Sonmaków? – spytałem samego siebie i wybuchnąłem płaczem. Tegoż dnia porzuciłem na wieki ogromne woły, dzikie komie i wodę pełną robaków. Puściłem się piechotą do Buenos–Aires.

Ale zdaje mi się, że na tej stacji powinien być bufet. Czy nie uważa pan, że pora już coś niecoś przekąsić i nabrać sił do dalszego opowiadania?

Po sutym posiłku napiliśmy się piwa, zapaliliśmy cygara – dobre, wonne, prawdziwe cygara z Buenos–Aires – i wsiedliśmy z powrotem do wagonu, gdzie mój nowy znajomy ciągnął dalej:

– Buenos–Aires to miasto stworzone przez grzechy ludzkie. Czy był pan kiedy w Ameryce? W Nowym Jorku? Nigdy? A w Londynie? Też nie? W Madrycie? W Konstantynopolu? W Paryżu? I tam nie? Wobec tego nie mogę opisać panu, co to jest Buenos–Aires...

Mogę tylko tyle o nim powiedzieć, że jest ono jak niebo i piekło. To znaczy, dla jednych jest niebem, dla drugich piekłem. Nie trzeba tylko przegapić odpowiedniej chwili, a wtedy fortuna sama ci się kładzie pod stopy. Pieniądze leżą tam ma ulicy. Chodzisz po nich i deptasz. Trzeba się tylko schylić i czerpać pełną garścią. Ale strzeż się, żeby cię nie zdeptano! Rzecz najważniejsza: iść naprzód i nie oglądać się poza siebie. Nie namyślać się! Nie rozważać: to wypada, a tamto nie. Wszystko jest dobre. Być kelnerem w restauracji? Owszem. Chłopcem na posyłki? I to dobre. Można myć butelki w browarze, można pchać wózek, sprzedawać gazety, wykrzykiwać nowiny, kapać psy, hodować koty, łapać myszy i ściągać z nich skórę. Wszystko jest dobre. Tam, wypada być wszystkim.

I ja byłem wszystkim. A wszędzie dostrzegałem tylko jedno: nie warto pracować dla innych! Dobrze jest, gdy człowiek pracuje dla siebie. Cóż począć? Taki to już porządek na tym bożym świecie, że jeden w pocie czoła warzy piwo, aby drugi je wypił, inny znów pracuje i zwija cygara, żeby ja mógł je palić.

Ot, i teraz. Maszynista prowadzi pociąg, palacz znosi węgiel, robotnik smaruje osie. A my, ja i pan, siedząc w wagonie opowiadamy sobie historie. Komu to się nie podoba, niechaj przerobi ten świat!

Spojrzałem uważnie na mego sąsiada: kim jest ten człowiek? Dorobkiewiczem? Byłym krawcem, który założył sklep z konfekcją? Może fabrykantem? Albo kamienicznikiem? A może kapitalistą żyjącym z procentów? Lecz oddajmy mu głos. Niechaj opowiada sam o sobie.

– Jednym słowem, powiadam panu: świat jest mądry, dobry i pełen słodczy. Szczęśliwy, kto na nim żyje! Jedno tylko – nie pozwolić sobie dmuchać w kaszę!

Miotalem się, proszę pana, jak ryba bez wody. Próbowałem wszystkiego. Nie było pracy, której bym się nie podjął. Każda robota była dla mnie odpowiednia. Prawdę mówiąc, nie ma na tym świecie hańbiącego zawodu. Każdy zarobek jest dobry. Byleby handel uczciwy i obowiązywało kupieckie słowo. Wiem to z doświadczenia.

Nie będę się wcale przechwalał, jeżeli powiem, że u mnie słowo honoru jest święte jak u samego rabina. Nie jestem złodziejem ani bandytą, ani oszustem – proszę mi wierzyć. Daj nam, Boże, taki rok, jaki uczciwy ze mnie kupiec. Handluję rzetelnie i nie chcę nikogo okpić. Sprzedaję to, co mam. Nie sprzedaję kota w worku. Chce pan wiedzieć, kim ja jestem? Jestem właściwie dostawcą. Dostarczam światu towar, o którym się nie mówi... Dlaczego? Bo świat jest zbyt mądry, a ludzie zbyt delikatni. Nie lubią, gdy się rzeczy nazywa po imieniu. Wolą, gdy ktoś na czarne powie, że to białe, a białe nazwie czarnym. Nie ma na to rady...

Spojrzałem na mego rozmówcę z Buenos–Aires i pomyślałem: „Mój Boże! Kim jest ten człowiek? Jakim towarem handluje? I cóż to za dziwne przykłady: czarne nazywać białym, a białe – czarnym?” Miałem ochotę przerwać mu pytaniem: powiedz, bracie, jakie dostawy masz na myśli? Ale jakoś nie wypadało. Niechaj mówi dalej!

– Krótko i węzłowato: mój dzisiejszy interes nie mieści się w Buenos–Aires, jest on rozgałęziony po całym świecie – w Paryżu, w Berlinie, w Budapeszcie, w Bostonie, a tylko biuro

główne znajduje się w Buenos–Aires. Żałuję, że nie mogę go panu pokazać. Oprowadziłbym pana po pokojach, zapoznałbym z moimi podwładnymi. U mnie pracownicy żyją niby Rot-szyldowie. Osiem godzin pracy dziennie i ani minuty więcej! U mnie człowiek traktowany jest po ludzku...

A wie pan dlaczego? Dlatego że sam byłem kiedyś pracownikiem. I pracowałem właśnie u moich dzisiejszych wspólników, bo interes należy do nas trzech. Dawniej było ich dwóch, a ja miałem u nich posadę. Wkrótce zostałem ich prawą ręką i cały interes spoczywał na moich barkach: zakupywałem towar i sprzedawałem go, oceniałem i sortowałem. Mam bystre oko. Spojrzę na towar, a już wiem, ile wart i dokąd należy go wysłać. Ale to mało: w naszej branży potrzebny jest również węch. Trzeba wywęszyć na odległość całych mil, gdzie towar się ukrywa. Trzeba wyczuć, gdzie można dobrze zarobić, a gdzie połamać ręce i nogi – wpaść tak głęboko w błoto, że się z niego prędko nie wydobędziesz. Zbyt wielu „opiekunów” czuwa nad naszym interesem... Zbyt wiele oczu kieruje się w naszą stronę, a my specjalnie lękamy się uroków. Jeden fałszywy krok, a nie oczyścisz się w dziesięciu wodach. Najmniejsza drobnotka – natychmiast podnosi się krzyk, hałas, artykuły w gazetach. A gazetom więcej nie trzeba. Przecież czekają tylko na taką gratkę. Z miejsca trąbią na alarm, wrzeszczą, stawiają na nogi policję... Chociaż wyznam panu szczerze, iż policję całego świata... cha, cha, cha... mamy w kieszeni. Gdybym wymienił sumę, jaką nas rocznie kosztuje sama policja, strach by pana opadł! To więcej niż dziesięć, niż piętnaście, niż dwadzieścia tysięcy!

Uczył ruch palcami, jak gdyby wyrzucał tysiączki. Na jednym z palców zabłysnął brylantowy pierścień. Człowiek z Buenos–Aires przerwał, spojrzał, jakie wrażenie wywarły jego słowa na słuchaczu, i mówił dalej:

– A gdy trzeba więcej, to też z tym nie ma kłopotu. Jesteśmy na to przygotowani – ja i moi dwaj wspólnicy. Firma zwraca na słowo honoru każdą sumę wydaną na policję. Wszystkie interesy załatwiamy na słowo, nie prowadzimy ksiąg handlowych. Jeden wierzy drugiemu i nie zatai ani grosza zarobku. Proszę mi wierzyć! Gdyby ktoś to uczynił, spotkałby go marny koniec! Jesteśmy dobrze poinformowani o każdej transakcji, znamy teren naszej działalności. Każdy z nas ma swoich agentów i swoich szpiegów. Tak, mój panie. Interes oparty na słowie honoru to nie byle co... Czy nie uważa pan za stosowne przepłukać sobie gardło na tej stacji?

Mój towarzysz zaglądnął mi w oczy. Naturalnie, że nie miałem nic przeciw temu i wysiedliśmy z wagonu, żeby zwilżyć sobie wargi. Mój sąsiad wypił chciwie kilka szklanek lemoniady. Mnie jednak nie pozwalała rozkoszować się napojem uparta myśl: Czym handluje ten człowiek z Buenos–Aires? Dlaczego tak szasta tysiącami? I jakim to cudem ma w swej kieszeni policję całego świata? Po co, u licha, są mu potrzebni agenci i szpiegowie? Czy nie chodzi tu o kontrabandę? A może sprzedaje fałszywe brylanty, kupuje kradziony towar? Albo może to zwykły blagier, fanfaron, samochwał, jeden z tych, którym cuda rodzą się na języku... My, komiwojażerowie, nazywamy takiego pasażera „hurtownikiem”, że niby wszystko robi „hurtem”, a w gruncie rzeczy nie jest zdalny do niczego...

Zapaliliśmy cygara; wracamy na swoje miejsca, a człowiek z Buenos–Aires opowiada dalej:

– O kim mówiliśmy? Aha, o moich wspólnikach. Dawniej byli moimi pryncypałami. Nawet nieźli chlebobdawcy. Jakże mogli być złymi w stosunku do człowieka, który służył im wiernie jak pies? Cent stanowiący ich własność był dla mnie droższy niż mój własny. Dzięki nim miałem wielu krwawych wrogów! Zdarzyło się, że z powodu mej wierności chciano mnie otruć. Słowem, służyłem im uczciwie, jak się należy...

Ale człowiek jest tylko człowiekiem. Dziś żyje, a jutro?... Nie bardzo mi się uśmiechała wieczna służba u kogoś. Czyż nie mam swoich rąk, nóg i języka? Zresztą wiedziałem, że beze mnie długo się nie obejda... Po prostu nie mogą – są bowiem tajemnice, sekrety nad sekretami, jak to zwykle w handlu...

Rozważyłem to sobie i oto pewnego pięknego dnia przyszedłem do moich chlebodawców i oświadczyłem:

– Adieu, szanowni panowie!

Spojrzelili na mnie.

– Czemu adieu? Co to znaczy?

– Adieu to znaczy; bywajcie zdrowi!

Na to oni:

– Co się stało?

A ja do nich:

– Jak długo jeszcze będę wam służyć?

Spoglądali jeden na drugiego, wreszcie pytają: jaki mam kapitał? A ja na to:

– Tyle, ile mam, starczy mi na początek. A jeśli nawet będzie mało, to przecież – powiadam – jest Bóg w niebie, a Buenos–Aires to miasto.

Zrozumieli mnie w lot. Dlaczegoż mieliby nie zrozumieć? Musieliby stracić rozum. I tak oto przyjęto mnie do spółki. Od tego dnia było nas trzech wspólników, trzech pryncypałów na równych prawach. Nie istniał u nas zwyczaj: temu mniej, a tamtemu więcej. Jak los zdarzył... Kłótni też nie było. I po co się kłócić, skoro zarobek był, dzięki Bogu, nienajgorszy, a interes się rozwijał...

Świat się rozszerza, a towar drożeje... Każdy wspólnik czerpie z interesu, ile mu trzeba. A wszyscy jesteśmy rozrutnikami. Ja sam – nie mając żony ani dziecka – wydaję codziennie tyle co inny na utrzymanie licznej rodziny. A ile wydaję na jałmużny i dobroczynne cele! Ze wszystkich stron zwracają się do mnie o pomoc: to szkoła, to znów szpital, kasa emigrantów, koncert na rzecz ubogich – Buenos–Aires, panie, to nie fraszka, to wielkie miasto. A ile kosztują mnie inne miasta! Palestyna – czy pan uwierzy? – kosztuje mnie najwięcej. Dopiero niedawno otrzymałem list z uczelni w Jerozolimie. Piękny list, opatrzony żydowskim godłem, z pieczęcią rabina. Pismo, skierowane do mnie, zaczynało się od słów: „Do znanego bogacza reb Mordche.” Ech – myślę sobie – jacy to grzeczni ludzie, że mnie tak tytułują! Nie wolno być skąpiradłem – posłałem im setkę...

To są wydatki nadprogramowe. A teraz, co mnie kosztuje moje miasto rodzinne? Sonmaki! Sonmaki, panie, wyciągają ode mnie corocznie całą kupę pieniędzy. Co dzień nadchodzi list. To zdarzyło się nieszczęście, to znów inna klęska... Pomijam już datki na różne cele. W każde Pesach regularnie – setka! To już należy do moich obowiązków. Na przykład teraz jadę do Sonmaków. Jadę, choć wiem, że mi tysiąc rubli nie wystarczy na jałmużnę i ofiary. Chciałbym okupić się dwoma tysiącami – niechby wystarczyły trzy!

Przecież to nie drobnostka: człowiek nie był już tak dawno w domu. Od lat dziecięcych. Wiem z góry, że całe miasto gorączkowo oczekuje mego przybycia. Zbiegną się wszyscy. Wielka radość – Motel wrócił. Nasz Motel z Buenos–Aires! To dopiero święto! Wypatrują mnie już na drodze. Biedacy... Z każdej stacji dają im znać, że jadę. Nadaję depeszę: „Przyjeżdżam, Motel.” A sam – czy uwierzy mi pan – płonę z niecierpliwości. Niech diabli porwą Buenos–Aires, Nowy Jork, Paryż, Londyn! Sonmaki – oto mój dom!

Przy tych słowach twarz mego sąsiada nabrała innego wyrazu. Odmłodziła. Wypiękniała. Okolone tłuszczem oczy roziskrzyły się, zabłysły nagle radością, weselem, miłością...

Co do mnie, wciąż jeszcze nie rozumiałem, kim jest ten człowiek i czym się zajmuje. Sąsiad nie pozwalała mi się jednak zastanowić i ciągnie dalej:

– Jak się panu zdaje, po co ja właściwie jadę do Sonmaków? Trochę tęskno mi za miastem rodzinnym, chcę odwiedzić groby najbliższych: ojca, matki, siostry i braci, całej rodziny. Lecz przede wszystkim chcę się ożenić. Jak długo można być kawalerem? A żenić się chcę tylko z dziewczyną z Sonmaków. Z mojego miasta. Z mojej rodziny. Pisałem już o tym do przyjaciół w Sonmakach, żeby się obejrzelili za kimś odpowiednim... Odpisali mi, abym przyjechał, a na pewno znajdzie się nie jedna.

Mam na tym punkcie bzika. Proponowali mi w Buenos–Aires – czy uwierzy pan? – najpiękniejszą dziewczynę. Mógłbym urządzić sobie życie niczym sułtan turecki... Ale powiedziałem sobie: „Nie!” Ożenię się w Sonmakach. Chcę mieć za żonę porządną dziewczynę. Córkę Izraela. Niechaj będzie najbiedniejsza – obsypię ją złotem. Rodziców jej otoczę dostatkiem, całą rodzinę uszczęśliwię.

Zabiorę ją do Buenos–Aires. Kupię jej pałac – niech mieszka tam jak księżniczka. W szczęściu upłyną jej lata jak żadnej kobiecie. Pozwolę jej się zajmować jedynie gospodarstwem. Spokojne jej życie poświęcone będzie dzieciom i mężowi. Dzieci będę kształcił. Jednego na lekarza, drugiego na inżyniera, trzeciego na prawnika. Córki wyślę do pensjonatu żydowskiego – do Frankfurtu...

Do wagonu wszedł konduktor, by sprawdzić bilety. Zawsze tak się dzieje – obserwuję to nie po raz pierwszy: diabli przynoszą konduktora właśnie wtedy, gdy jest najmniej potrzebny. W wagonie powstaje zgiełk i hałas. Każdy z pasażerów chwytą swój bagaż. Niestety, muszę przesiąść się do innego pociągu. Mój znajomy z Buenos–Aires pomaga mi zebrać rozrzucone na półkach paczki. Tymczasem prowadzimy rozmowę, którą powtarzam dosłownie:

Człowiek z Buenos–Aires: Jaka szkoda, że pan już wysiada! Nie będzie z kim pogwarzyć.

Ja: Cóż poradzę? Zarobek jest zarobkiem.

Człowiek z Buenos–Aires: Słusznie. Zarobek jest zarobkiem. Zdaje się, że będę musiał dopłacić i przesiąść się do pierwszej klasy...

Ja: Przepraszam, że panu przerywam, ale mam pół minuty czasu. Chciałem się o coś zapytać.

Człowiek z Buenos–Aires: A mianowicie?

Ja: Chciałem się zapytać... O, już dają sygnał... Czym się pan właściwie zajmuje? Czym pan handluje?

Człowiek z Buenos–Aires: Czym handluję? Cha, cha, cha! W każdym bądź razie nie rajskimi jabłkami, mój przyjacielu...

Wysiadłem już z pociągu, a wciąż jeszcze stał mi przed oczami człowiek z Buenos–Aires, o gładko wygolonych policzkach, z wonnym cygarem w ustach. W uszach wciąż brzmiał mi jego śmiech:

„W każdym bądź razie nie rajskimi jabłkami, mój przyjacielu...”

POWRÓT Z CMENTARZA

Wracamy właśnie stamtąd, dokąd wy jedziecie. Wyplakaliśmy już nasze oczy, teraz kolej na was. Trzeba wam zrobić miejsce. Przysuńcie się, proszę, bliżej... Będzie wam wygodniej – ot tak.

Taką rozmowę słyszałem za moimi plecami. Właściwie mówił jeden, a drugi tylko od czasu do czasu dorzucał słówko.

– Wracamy stamtąd. Ja i moja żona. Oto ona: leży na podłodze i śpi. Biedaczka, wylała łzy za wszystkich Żydów. Nie można jej było oderwać od cmentarza. Jak dopadła grobu, tak na nim dzień i noc przeleżała. Perswadowałem: „Dosyć, dosyć tych lamentów, twoje łzy jej nie ożywią.” Nie usłuchała mnie. I rzeczywiście – czy mogła usłuchać? Takie nieszczęście! Dziewczyna. Oczko w głowie. I jaka udana! Piękna jak anioł. I mądra. Wykształcona. Ukończyła szkołę... Dwa lata minęły już od jej śmierci. Może sądzicie, że to były suchoty? Broń Boże! Zdrowa jak orzech. Sama, sama odebrała sobie życie...

– Doprawdy?

Z rozmowy tej rychło się domyśliłem, z jakiego to miejsca wracał ów pasażer. Przypomniałem sobie, że mamy właśnie początek miesiąca Elul – smutnego i drogiego miesiąca Elul. Od miasteczka do miasteczka ciągną gromady Żydów odwiedzających groby swoich bliskich. Zrozpaczone matki, osierocone dzieci, owdowiałe żony śpieszą na mogiły swych najdroższych, aby przypadłszy tam twarzą do ziemi, wyplakać ból swej poniewierki, żalność opuszczonych serc, ulżyć swojej niedoli i znaleźć pociechę dla cierpiących, stęsknionych dusz.

Dziwna rzecz. Podróżuję nie od roku ani od dwóch, a jednak rzec mogę śmiało, że dawno już w miesiącu Elul nie odwiedzano tak tłumnie zmarłych jak w tym roku.

Kasa kolejowa pęcznieje pieniędzmi. Wagony nabite pasażerami. Tłumy Żydów o zachmurzonych obliczach. Gromady kobiet z zapuchniętymi oczyma i nosami zaczerwienionymi od płaczu. Ten jedzie, ów wraca...

A na dworze pachnie miesiącem Elul. I w duszy snuje się cień Elulu. Tęskno – cknę się za domem. Machinalnie przysłuchuję się rozmowie dwóch Żydów, prowadzonej za moimi plecami.

– Może przypuszczacie, że pchnęło ją do tego kroku jedno z dzisiejszych nieszczęść? Czarne koszule, czerwone sztandary? Więzienie? Od takiej biedy Bóg mnie ustrzegł. To znaczy, ustrzegłem się sam. Toż to nie fraszka! Dziewczyna piękna jak cud, ukończyła szkołę... Robiłem, co mogłem: śledziłem, dokąd idzie, z kim rozmawia, co o niej mówią, jaką książkę czyta. „Córeczko – mówiłem. – Chcesz czytać? Owszem. Lecz ja muszę wiedzieć, co ty czytasz.” Nie jestem wprawdzie znawcą książek, ale węch mam dobry. Zajrzę do książki, a choćby napisano ją po francusku, z miejsca rozpoznaję jej treść.

– Faktycznie?

– Nie chciałem, żeby moje dziecko igrało z ogniem. Czy widzicie w tym co złego? Mówiłem do niej łagodnie, nie ze złością. Prosiłem po dobroci: „Córuniu, niechaj świat idzie swoim trybem! Ani ja, ani ty nie zmienimy tego porządku...” Słuchała mnie w milczeniu. Cicha gołąbka, złote dziecko! Przeszedł, Bogu dzięki, czas niebezpieczny. Zapomniałem o czarnych koszulach, czerwonych sztandarach. Przeżyło się rewolucję, konstytucję – diabli wiedzą co jeszcze... Nieraz zęby dzwoniły mi ze strachu. Toż to nie drobnostka: dziewczyna, jedy-naczka, oczko w głowie, a jaka udana, wykształcona!

– A więc?

– Niewiele mówiąc, przeżyliśmy z boską pomocą ten najgorszy okres. Teraz, powiedziałem sobie, czas pomyśleć o małżeństwie. O posagu nie było jeszcze mowy. Byleby Najwyższy miał ją w swej opiece! I zaczęło się nowe życie: swat za swatem, konkurent za konkurentem. Przyglądam się mojej córce – coś mi się w niej nie podoba. Nie upiera się: tego nie chcę

i tego też nie. Ale... posłuchajcie. Badałem, śledziłem, szukałem i dowiaduję się, że czyta jakąś książkę w ukryciu przede mną. A czyta ją nie sama. Do spółki z przyjaciółką z gimnazjum, córką naszego sąsiada – dziewczyną ładną i również udaną – i jeszcze z kimś trzecim. Kim jest ów trzeci? Nie ma co mówić! Jest to człowiek niemłody, nicpoń, twarz pryszczata, chore oczy bez rzęs, w złotych okularach. Marne stworzenie, którego nikt nie zna. Przy tym zużyty, stary, plugawy, jak robak. Czy wiecie, co to znaczy człowiek–robak? Wyjaśnię wam. Różni są ludzie na świecie: są ludzie–bydłota, ludzie–konie, ludzie–psy, ludzie–kozy i ludzie–robaki. Rozumiecie?

– Aha!

– Jak dostał się do mojego domu ten robak? Przez córkę naszego sąsiada. Był on właściwie jej przyrodnim bratem. Studiował na uniwersytecie, uczył się na aptekarza, prawnika czy też na dentystę, lichy go wie... Wiem tylko tyle, że dla mnie był aniołem śmierci! Ten kawaler w złotych okularach od razu nie przypadł mi do gustu. Powiedziałem to mojej żonie. A ona do mnie: „Przywidziało ci się!” Przyglądałem się i przysłuchiwałem – nie podobało mi się to wspólne czytanie i te rozmowy. Te rozpalone policzki, ten zapach...

Pewnego dnia rzekłem do mojej córki: „Córeczko, o czym to tak gorąco rozprawiacie?” „To nic – rzekła. – Mówimy o pewnej książce.” Pytam się: „Jaka to książka?” A ona: „Choć ci nawet powiem, to i tak nie będziesz wiedział.” A ja na to: „Dlaczegoż bym nie miał wiedzieć?” Roześmiała się i powiada: „To nie to, co masz na myśli. To jest *Sanin*, powieść Arcybaszewa.” Więc ja na to: „Arce Baszes to był mełamed⁷, ale dawno umarł.” A ona w śmiech. Pomyślałem sobie: „Śmiejesz się, a mnie krew stygnie w żyłach!” O czym myślałem? Różnie... Kto wie? Może znów zaczynają się dawne historie? Nie zastanawiając się długo, postanowiłem przeczytać tę książkę.

– Też mi ochota!

– Nie sam. Ktoś mnie wyręczył. Pracował u mnie pewien młodzieniec, który czytał po rosyjsku. Szło mu to gładko, jak po maśle. Wykradłem w nocy książkę córce i dałem ją chłopcu: „Masz, Berek! Przeczytaj tę książkę, a jutro opowiesz mi, co w niej napisane.” Ledwo doczekałem się ranka. Przyszedł Berek, pytam go: „A cóż tam w tej książce?” A on do mnie: „To dopiero książka! Całą noc nie kładłem się spać, nie mogłem się od niej oderwać.” „Aż tak? I co takiego w tej książce?” A Berek ją opowiadać historię – zapewniam was – ni przypiął, ni przylatał...

Posłuchajcie tych niedorzeczności: Był sobie kacap, nazywał się Sanin, a lubił wódkę pić i zagryzać kiszonym ogórkiem... Miał siostrę, nazywała się Lida i kochała lekarza, a zaręczona była z oficerem... I był taki student Jurij, co to zakochał się na zabój w nauczycielce–krasawicy. Jechała ona pewnej nocy czółnem – nie ze swoim narzeczonym, ale z tym pijakiem Saninem. Myśli pan, że to wszystko? Czekaj pan, to jeszcze nie koniec! Był tam również nauczyciel Iwan i obaj z tym pijakiem chodzili podglądać, jak się kąpią dziewczęta...

„Powiedz mi w kilku słowach – przerywam młodzieńcowi. – Co tam się dzieje?” „Powiem wam krótko, że ten pijak miał zwyczaj rzeć jak koń, a nawet własną swą siostrę Lidę, gdy wrócił do domu...” „Tfu! – zawołałem. – A niech cię! Dość mam tego pijaka. Powiedz mi raczej, co tam jest ma samym końcu?” „Koniec – powiada – jest taki, że oficer się zastrzelił i student się zastrzelił, a nauczycielka się otruła i pewien młody żołnierz się powiesił...” „Powieś się i ty – krzyknąłem – z nimi razem!” „Dlaczego pan mnie obwinia?” „Nie ciebie mam na myśli, lecz tego Arcybaszewa.” Tak powiedziałem do Berka, a pragnąłem właściwie, żeby się powiesiła ta pokraka w złotych okularach.

Nie byłem i tym razem leniwy i pogadałem ze studentem w cztery oczy.

„O co chodzi?” „Powiedz mi – strofuję go. – Skąd wy dostałeś takie bzdury?” A on zwraca ku mnie swe binokle: „Jakie bzdury?” „No, tego Arce Baszesa z tym pijakiem, który się na-

⁷ Me ł a m e d – nauczyciel w chederze.

zywa Sanin...” „Sanin – odpowiada – nie jest pijakiem.” „A kim jest twoim zdaniem?” „Sanin to bohater...” „Czy dlatego – mówię – jest bohaterem, że łośpie wódkę, zagryza ogórkiem i rzy jak koń?” Zacietrzewił się student, zdjął binokle i patrzy na mnie kaprawymi oczyma. „Słyszeliście – powiada – że dzwonią, ale nie wiecie gdzie... Sanin – to syn przyrody, człowiek wolny. Sanin mówi to, co myśli, i czyni to, co uznaje za stosowne...”

I dalej gada w tym tonie, co mu ślina na język przyniesie: wolność i miłość, i znów wolność, i jeszcze raz miłość... A mówiąc wypina swą ptasią pierś, gestykuluje i unosi arię jak kaznodzieja w synagodze. A ja wciąż stoję, patrzę na niego i myślę sobie: „Mój Boże, ten zdechłak mówi o takich rzeczach! Gdyby go tak wziąć za kark i wyrzucić za drzwi, żeby zęby pozbierał...” Lecz zastanowiłem się: co tam takie chuchro, taki idiota, niech sobie gada! Czy lepiej by było, gdyby mówił o bombach? Człowiek nie jest prorokiem. Któż zdołał przewidzieć, że istnieje coś gorszego od bomb – że przez takie bzdury stracę moje dziecko, skarb najdroższy, jedynaczkę, oczko w głowie... I że żona moja będzie bliska utraty zmysłów, a ja ze wstydu i rozpaczę będę musiał porzucić interesy i przenieść się do innego miasteczka?... Ale nie wyprzedzajmy wypadków! Opowiem wam dokładnie, jak to się stało i z czego wynikało...

Zacząło się od rozruchów agrarnych... Obawialiśmy się pogromu i żyliśmy w ciągłym strachu. Lecz skoro Bóg chce, staje się cud i wszystko kończy się dobrze. Prysłano do naszej guberni pułk żołnierzy i nastał spokój. Jednocześnie miasteczko odżyło, bo cóż lepszego może być dla Żydów jak pułk z feldfeblami, felczerami, oficerami, kapralami i komendantami?

– Rozumie się...

– I któż by tu przewidział, że córka kantora zakocha się w oficerze i zechce przyjąć chrzest, aby wyjść za niego za mąż? Zakotłowało się w miasteczku. Ostatecznie córka kantora nie wychrzciła się i nie wyszła za swego wybrańca. Skoro tylko zakończyły się rozruchy agrarne, pułk wymaszerował, a oficer w wielkim pośpiechu zapomniał się nawet z nią pożegnać... Ale córka kantora nie zapomniała oficera. Biada jej rodzicom! Czego ci ludzie nie przeżyli! Miasteczko kipiało. Wszędzie słyszałeś tylko dwa słowa: „Córka kantora” i „córka kantora”. Złe języki miały moc roboty, posłano nawet do ich domu akuszerkę. Pytano kantora, po kim nada imię dziecku? Choć, prawdę mówiąc, cała ta historia wyssana była z palca. Wiadomo, co potrafią małomiasteczkowi plotkarze!

– Ach, tak, tak!

– Żał było patrzeć na tych dwoje: na kantora z żoną. Cóż oni biedni zawinili? Niemniej jednak powiedziałem córce, że co było, to było, ale z dniem dzisiejszym trzeba zerwać stosunki z córką kantora. A u mnie jak powiedziane, to powiedziane! Wprawdzie to jedynaczka, lecz ojca musi słuchać. No i bądź tu prorokiem i wiedz z góry, że moja córka będzie się po kryjomu widywała z przyjaciółką...

Nagle za moimi plecami śpiący pasażer jął kaszleć i chrząkać. Opowiadający umilkł na chwilę, po czym ciągnął dalej, już nieco ciszej:

– Było to akurat w sobotę wieczór. Pamiętam jak dziś. Nasz kantor odmawiał modlitwę pokutną. Śpiewał tak przejmującym głosem, że kamienie mogłyby się wzruszyć. Nikt go tak nie rozumiał jak ja. Ach, te dzisiejsze dzieci – biada nam! Odmówiłem psalmy, pomodliłem się i poszedłem do domu. Biorę klucze i udaję się na rynek. Otwieram sklep i czekam na subiekta. Czekam pół godziny, czekam godzinę... Nie ma go. Wyglądam oknem – idzie. „Berku, dlaczego tak późno?” A on do mnie: „Nie wie pan, co się stało? Chajka...” (Tak się nazywała córka kantora.) „Co się stało?” – pytam. „Jak to? odpowiada. – Nie wie pan? Chajka się otruli...”

– I co dalej?

– Usłyszawszy to pobiegłem natychmiast do domu. Pierwszą moją myślą było: co powie na to Etką? Etką – to moja córka. Przychodzę do domu, pytam żonę: „Gdzie Etką?” „Etką jeszcze śpi. Co się stało?” „Jak to? – powiadam. – Nie wiesz? Chajka się otruli...” Żona chwy-

ciła się za głowę: „Nieszczęście! Biada nam!” „Co takiego?” „To nie wiesz – powiada – że ubiegłej nocy Etkę spędziła z nią całe dwie godziny?” „Etkę – pytam – z Chajką? Co ty mówisz? Niemożliwe!” „Lepiej już nie pytaj! Musiałam jej to wybaczyć. Zaklinała mnie, abym ci nie mówiła. Spotykała się z nią codziennie. Nieszczęście spadło na moją głowę... Obym się tym razem pomyliła!” Tak powiedziała moja żona, pobiegła do sypialni córki i runęła na podłogę. Wpadam do pokoju. Podbiegam do łóżka: „Etkę!...” Gdzie tam Etkę! Jaka Etkę? Nie ma Etkę.

– Nie ma?

– Umarła. Leży na łóżku martwa. Na stoliku buteleczka, przy niej kartka pisana jej ręką, po żydowsku. Trudno było odczytać... „Kochani, najdrożsi rodzice! Przebaczcie mi, że sprawiłam wam taki ból i wstyd. Dałyśmy sobie słowo, ja i Chajka, że jednego dnia, o jednej godzinie umrzemy jednakową śmiercią, gdyż jedna bez drugiej nie może żyć. Wiem, że wyrządzam wam, moi drodzy, wielką krzywdę. Długo walczyłam z tą myślą. Ale trudno – przepaść! Jedną mam do was prośbę, najdrożsi: pochowajcie mnie obok Chajki, grób przy grobie. Bądźcie zdrowi i zapomnijcie, żeście mieli kiedyś córkę Etkę...” Słyszycie? Mamy zapomnieć, żeśmy mieli córkę Etkę...

Za moimi plecami rozlega się stękanie, chrząkanie, szelest, a potem ochrypli głos kobiety:

– Abramku... Abramku...

– Co tam, Gitlo? Wyspałaś się? Napijesz się herbaty? Niedługo będzie stacja. Gdzie czajnik? Gdzie herbata i cukier?

„PRÓŻNIAK”

Czy wiecie, jakim pociągiem jedzie się najlepiej, najwygodniej i najspokojniej?

– Co? Nie wiecie?

„Próżniakiem”!

Taką nazwę nadali Żydzi bohopolscy skromnej kolejce łączącej szereg miasteczek: Bohopol, Hajsyn, Teplik, Niemirów, Haszczewatę i tym podobne grajdołki, których nigdy nie dotknęły stopy praojca Adama.

Żydzi bohopolscy, którzy sami słyną w świecie ze swych cnót, przypisują „Próżniakowi” niezliczone zalety.

Przede wszystkim – powiadają – nigdy się na tej linii nie spóźnicie i zawsze zdążycie na pociąg. A ileż to warte, że nie trzeba walczyć o miejsce? Często zdarza się, że w całym pociągu znajduje się tylko jeden pasażer, który może sobie spokojnie spać w najwygodniejszej pozycji niczym sułtan. Nie ma w tym żadnej przesady. Oto już trzy tygodnie, jak jeżdżę „Próżniakiem”, a wydaje mi się, że wciąż stoję na jednym miejscu. Istne czary! Nie sądźcie jednak, że się na to uskarżam. Wprost przeciwnie. Jestem z tego bardzo zadowolony, gdyż widziałem po drodze tyle pięknych rzeczy i nasłuchałem się tylu historii i opowieści, że sam nie wiem, jak zdołam to wszystko zmieścić w moich zapiskach.

Czy niegodne są na przykład utrwalenia na papierze dzieje budowy tej linii kolejowej?

Gdy wydano rozporządzenie, aby założyć w tej okolicy tor kolejowy (Witte był wtedy ministrem), Żydzi mówili: „Plotka! Po co kolej Teplikowi, Hajsynowi lub Holcie? Alboż to nie mogą istnieć bez kolei? Czy nie wypada im inaczej?”

Tak rozumowali tamtejsi Żydzi. Cóż dopiero mówić o bohopolanach? Ci, jak zazwyczaj, sypali dowcipami, drwili, pokpiwali sobie, wskazywali palcem na dłoń: „Prędzej nam tu włosy wyrosną...”

Później, gdy przyjechał inżynier i zaczął sporządzać plany oraz mierzyć pola, Żydzi umilkli, a bohopolscy dowcipnisie umyli ręce. Ludzie ci nie przejmują się bynajmniej, jeśli staje się coś wbrew ich przepowiedniom, i powiadają: „Zdarza się, że nawet kalendarz nie zawsze trafnie przepowiada...” Okoliczni mieszkańcy jęli się zwracać do inżynierów z poleceniami, listami i prośbami, aby im dali pracę. Żydzi zawsze poszukują zarobku. Teplikowscy, hajsyńscy i bohopolscy obywatele słyszeli, że przy budowie kolei można się wzbogacić. Na przykład Polakowowi kupcy żydowscy – i to nie tylko ci, którzy handlują drzewem lub kamieniami, ale i tacy, co sprzedają pszenicę i żyto – ofiarowali swoje usługi. Wszyscy Żydzi stali się koncesjonariuszami, dostawcami, budowniczymi kolei. Zawczasu już obliczali, ile na tym zarobią.

Jednym słowem, w całej okolicy zapanował pewien rodzaj febry kolejowej, na którą każdy Żyd zapadał. Pokusa była wielka. Bo któż nie chciałby stać się Polakowem – i to w ciągu krótkiego czasu?

Natłok i konkurencja dostawców i „budowniczych” przybrały takie rozmiary, że przydziału pracy dokonywano drogą losowania. Kto miał szczęście lub spodobał się inżynierowi, ten otrzymywał robotę. A kto nie miał tego szczęścia, zadowalał się choćby najdrobniejszą częstką. Nie można mu było tej części odmówić, gdyż wnet się odgrażał, iż wie, jak trafić do Petersburga i do sfer rządowych. Zastawiano perły, chałaty sobotnie, wydawano ostatni grosz, aby wykonać zamówienia. A potem przestrzegano dzieci, żeby stroniły od takiego interesu jak kolej.

Niemniej jednak – co ma piernik do wiatraka? Żydzi wyteżali się ponad siły i w końcu postawili na swoim: wbrew wszelkim przeciwnościom losu kolej stała się faktem. I mimo to, że w Bohopolu nazwano ją „Próżniakiem”, byli nią oczarowani, wychwalając bez końca jej zalety...

Na przykład: szczycą się tym, że od czasu jak „Próżniak” jest „Próżniakiem”, nie zdarzyła się na tej linii ani jedna katastrofa. Jaka jest tego faktu przyczyna? Przyczyna jest, powiadają, bardzo prosta: Kto idzie powoli, ten nie upada. A „Próżniak” istotnie porusza się powoli. Może nawet zbyt powoli. Lubujący się w dykteryjkach mędrkowie bohopolscy opowiadają, że pewien mieszkaniec Bohopola wybrał się „Próżniakiem” do krewnego w Haszczewatej na chrzciny – a przyjechał na konfirmację.

Opowiadają też, jak to pewnego razu pośrodku linii kolejowej miała się spotkać berdyczowianka z niemirowskim młodzieńcem. Gdy przybyli na miejsce, młodzian był siwy jak gołąb, a dziewczyna nie miała już ani jednego zęba. Oczywiście musiano zerwać zaręczyny.

Sam słyszałem od kupca z Hajsyna, że kilka lat temu, akurat w dzień Hoszano Rabo⁸, zdarzyła się na tej linii, rzec można – prawdziwa katastrofa, która wywołała panikę na wszystkich stacjach i popłoch wśród całej ludności. Katastrofę tę spowodował Żyd i, z przeproszeniem, pop. Opowiem wam o niej w następnym rozdziale dokładnie, tak jak mi ją opowiedział ów kupiec.

Gdy przeczytacie do końca, przekonacie się, że to najprawdziwsza w świecie historia.

Kupiec z Hajsyna nie zmyślałby podobnych rzeczy.

⁸ Hoszano Rabo – siódmy dzień Kuczek, podczas którego odbywa się siedem procesji z palmami.

CUD W HOSZANO RABO

Cudem w Hoszano Rabo nazwano katastrofę kolejową, która wydarzyła się akurat w to święto. A trzeba wam wiedzieć, że miała ona miejsce u nas, w Hajsynie. Właściwie nie w samym Hajsynie, ale o parę stacji dalej, w Sobolewie.

Tymi słowy rozpoczął kupiec z Hajsyna swe opowiadanie o katastrofie, jaka zdarzyła się na kolei wąskotorowej, zwanej „Próżniakiem”. Opowiedział mi tę historię właśnie wtedy, gdyśmy jechali „Próżniakiem”, któremu nigdy się nie śpieszy. Byliśmy jedynymi pasażerami w wagonie. Mój towarzysz położył się wygodnie na ławie, jak u ojca w winnicy, klepał się po brzuchu i rozkoszował własnym opowiadaniem.

– Jedziecie już naszym „Próżniakiem”, dzięki Bogu, drugi tydzień i poznaliście się chyba na jego zaletach? Ma on tę chwalebłą zasadę, że gdy zatrzymuje się na stacji, to zapomina o wszystkim. Właściwie, według rozkładu jazdy, nie wolno mu stać dłużej, niż tam ustalono. Ustalono, na przykład, że na stacji Zadkowice powinien stać godzinę i pięćdziesiąt osiem minut, a w Sobolewie, gdzie się zdarzyła ta historia, powinien odpoczywać godzinę i trzydzieści dwie minuty. Ale niech go diabli porwą! W Zadkowicach czy Sobolewie on zatrzymuje się zwykle na dwie, niekiedy na trzy godziny. To zależy od tego, ile czasu potrzeba na „manewrowanie”. A domyśla się pan niewątpliwie, ile czasu zużywa nasz „Próżniak” ma manewrowanie. Przede wszystkim odczepia się parowóz od wagonów. Następnie „brygada”, to jest konduktor z maszynistą i palaczem, zasiada do piwa w towarzystwie naczelnika stacji, żandarma i telegrafisty, wypróżniając butelkę za butelką.

A co robi publiczność – to znaczy pasażerowie – podczas manewrowania? Widział pan już na własne oczy, co się robi w takich wypadkach: człowiek o mało nie oszaleje z nudów. Jeden stęka, drugi wtula się w kąt i ucina krótką drzemkę, inny znów przechadza się po peronie z założonymi rękoma, mrużąc jakąś melodię.

I oto zdarzyło się w Sobolewie podczas manewrowania, akurat z samego rana w Hoszano Rabo, że pewien Żyd – nawet nie pasażer, lecz po prostu mieszkaniec Sobolewa – gdy odczepiano lokomotywę, przystanął i zaczął ją oglądać. Co tu robi Żyd z Sobolewa? Nic. Było to przecież w Hoszano Rabo. Pomodlił się więc w synagodze, wrócił do domu, podjadł sobie... Na sercu było mu lekko – na pół świątecznie, na pół powszednio. Posłał już „kwitek” z życzeniami do rabina. A że w domu nie było żadnej roboty, bo to wigilia święta, wziął tedy laskę do ręki i wyszedł na spotkanie pociągu.

A trzeba panu wiedzieć, że w naszych okolicach istnieje zwyczaj wychodzenia na spotkanie pociągu. Coś gna człowieka na dworzec – może się tam kogoś zobaczy? Kogo? Żyda z Tepliki czy Żydówkę z Oborówki? Czy też popa z Chołoniewa? Takie bywają żydowskie rozrywki. Cóż to komu szkodzi? A w owych czasach kolej była jeszcze nowością – „Próżniak” dopiero co został uruchomiony. I było na co patrzeć!

Dość, że owego dnia, z samego rana w Hoszano Rabo, tak jak panu opowiadam, w nastroju na pół świątecznym i na pół powszednim stał sobolewski obywatel z laską w rękę i patrzył. No, i cóż z tego? Na pozór rzecz prosta: Żyd sobolewski stoi i patrzy na odczepioną lokomotywę. Kogo to może obchodzić? Niech sobie patrzy na zdrowie!

Lecz nie. Przypadek zrządził, że wśród pasażerów na peronie znajdował się pop, i – proszę sobie wyobrazić – właśnie pop z Chołoniewa, z miasteczka, które leży niedaleko od Hajsyna. Nie ma co robić, więc pop spaceruje sobie wzdłuż nasypu, podchodzi do lokomotywy i odzywa się do Żyda:

– Słuchaj no, Moszku, co ty tam widzisz?

A na to Żyd:

– Nie nazywam się Moszek, tylko Berek.

– Niech będzie Berek – powiada pop. – Więc po co tu przyszedłeś, Berku?

Żyd mówi nie spuszczać oka z lokomotywy:

– Stoję i podziwiam cud boży. Jak przez takie głupstwo, za pokręceniem jednej czy dwóch śrubek, porusza się taka olbrzymia maszyna.

– Skąd wiesz – pyta pop – że maszyna porusza się dzięki pokręceniu śrubek?

– Gdybym nie wiedział, to bym nie mówił...

A pop do niego:

– Wiesz tylko tyle, jak się je kugel⁹.

Rozgniewało to Żyda (mieszkańcy Sobolewa są ambitni!) i mówi z przekąsem:

– A więc, ojczulku, chcesz się przekonać, czy znam się na maszynie? Wsiądźmy na lokomotywę, a ja ci pokażę, na czym polega sztuka, że lokomotywa jedzie albo stoi.

Te słowa dopiekły już popowi nie na żarty. Jak to, taki łapserdak będzie mu tłumaczył, jak lokomotywa się porusza?!

I zawołał żywo:

– Właż, Herszku, na parowóz!

A Żyd mu na to:

– Nie nazywam się Herszko, tylko Berek.

– Niech będzie Berek. A wiec właż, Berku!

Na to Żyd:

– Dlaczegoż to ja mam włazić? Ty, ojczulku, wejdz pierwszy.

Pop odparł ze złością:

– Przecież ty mnie uczysz, nie ja ciebie, więc ty powinieneś wsiąść pierwszy.

Krótko mówiąc, od słowa do słowa, doszło do tego, że obaj znaleźli się wkrótce na lokomotywie i sobolewski obywatel jął pouczać popa o „czarodziejstwach” maszyny. Powolutku zakręcił korbą w jedną stronę i w drugą, a wtem, zanim zdążyli się spostrzec, lokomotywa ruszyła z miejsca – i jazda!

Niechaj sobie jadą na zdrowie... A my tymczasem zajmijmy się osobą sobolewskiego Żyda, który był na tyle odważny, że wsiadł wraz z popem na odczepioną od wagonów lokomotywę.

Berek Essigmacher – tak brzmiało imię i nazwisko odważnego Żyda z Sobolewa. A nazywał się tak z racji swego zawodu, wyrabiał bowiem ocet, i to najlepszy, jaki można było nabyć w okolicy. Fach ten był dziedziczny i przechodził w rodzinie z ojca na syna. Ale Berek wymyślił podobno maszynę, która wytwarzała najmocniejszą esencję. „Gdybym miał czas – mawiał – to bym mógł dostarczyć octu na cztery gubernie.” Ale nie chce tego robić, nie jest chciwcem. Dziwny człowiek z tego Berka Essigmachera! Nigdzie się nie uczył, a wszystko potrafi zesztukować i zna się na każdej maszynie. Skąd to do niego? Rzecz prosta: Berek ma gorzelnię i pędzi wódkę. A gorzelnia to niby mała fabryka, a fabryka ma tę samą maszynę co i lokomotywa. Fabryka gwizdże i pociąg gwizdże – jakaż więc istotna różnica? Najważniejsze – mówi Berek – to siła, która pochodzi z pieca. Gdy się pali, ogrzewa się kocioł i wrząca woda porusza walec, wokół którego kręcą się koła. Chcesz, żeby maszyna poszła na prawo, zakręcasz prawą śrubę, a chcesz na lewo, kręcisz regulatorem na lewo... Najprostszy sposób!

Teraz, gdy zaznajomiłem was z naszym sobolewskim bohaterem, zrozumiecie już wszystko – a my powrócimy do katastrofy.

Czy mam opisywać, jaka panika powstała wśród pasażerów, gdy ujrzeli mknący parowóz, nie wiadomo przez kogo prowadzony? A jaki strach ogarnął brygadę! Puściła się w pogoń za lokomotywą: chcieli ją z tyłu schwytać... Zrozumieli jednak, że to daremny trud! Lokomotywa oddalała się w coraz szybszym tempie. Odkąd „Próżniak” zaczął kursować po tej linii, nikt nie pamięta, żeby lokomotywa pędziła tak szybko.

⁹ K u g e l – legumina jadana przez Żydów szczególnie w szabas.

Członkowie brygady wraz z żandarmem i naczelnikiem stacji wrócili z nosami na kwintę i nie pozostało im nic innego, jak spisać protokół i nadać depeszę wzdłuż linii: „Lokomotywa ruszyła sama. Przedsięwzięć środki ostrożności. Telegrafować.” Łatwo sobie wyobrazić, jaką panikę rozpętała ta depesza na całej linii. Przede wszystkim nie rozumiano jej treści. Co to ma znaczyć: „Lokomotywa ruszyła sama”? Czy słyszał kto o czymś podobnym? A następnie: „Przedsięwzięć środki ostrożności.” Jakie środki mogą zapobiec nieszczęściu? Trzeba o to spytać. I zaczęto wysyłać depesze ze stacji do stacji. Telegraf pracował niezmordowanie. Wiadomość ta wkrótce dotarła do wszystkich miast i miasteczek leżących na linii i powstało, proszę was, straszliwe zamieszanie – istna wieża Babel. U nas w miasteczku opowiadano nawet o licznych ofiarach... I za cóż to ludzi spotkała taka kara boska? Akurat w Hoszano Rabo, po wysłaniu „kwitków”? Widocznie Bóg tak chciał...

Tak opowiadano sobie u nas w miasteczku i w całej okolicy. Nikt nie wyobraża sobie, ile rozpaczy i zmartwień przysporzyły ludziom te pogłoski. Ale wszystko to było błahostką w porównaniu z desperacją pasażerów, którzy pozostali na stacji w pociągu bez lokomotywy. Jak to? Cóż poczną? Przecież dziś Hoszano Rabo, wigilia święta! Gdzie mają się podziąć? I gdzie spożyć świąteczną wieczerzę?

Pasażerowie, zbici w gromadkę w kącie wagonu, zaczęli rozmyślać nad swoim losem i nad losem tego „stworzenia” (tak nazwali lokomotywę, która uciekła). Kto wie, co tam się stało? Wystarczy mrugnąć okiem, a już maszyna pędzi po szynach... Kto wie? A nuż wpadnie po drodze na „Próżniaka”, który jedzie z przeciwnej strony, z Hajsyna? Co się wówczas stanie z biedakami, którzy wracają tym pociągiem?

I wyobraźnia malowała im zderzenie, straszną katastrofę z najokropniejszymi następstwami. Widzieli już skutki zderzenia: przewracane wagony, zdruzgotane koła, głowy ludzkie, obcięte nogi, oderwane ręce, rozbite walizy obryzane krwią!

Nagle – depesza. Nadeszła depesza z Zadkowic następującej treści: „Przed chwilą w szalonym pędzie przez stację Zadkowice przeleciała lokomotywa, a w niej dwaj pasażerowie. Jeden wygląda na Żyda, drugi na popa. Obaj wymachiwali rękoma, nie wiadomo dlaczego. Lokomotywa pomknęła w stronę Hajsyna.”

Wtedy zakotłowało się na dobre. Jak to? Żyd z popem w lokomotywie? Dlaczego razem? I kim może być ów Żyd? Gadu – gadu i wkrótce stało się wiadome, że ów Żyd był z Sobolewa. Skąd ta pewność? Sobolewscy Żydzi przysięgali, że widzieli na własne oczy Essigmachera rozmawiającego z popem tuż obok odczepionego parowozu.

Jak to? Co ma wspólnego fabrykant octu z popem i po co stał przy lokomotywie? Opowiadano sobie o tym na lewo i na prawo, aż wieść dotarła do Sobolewa. Chociaż miasteczko nie leżało zbyt daleko od stacji, to jednak, zanim cała ta historia przedostała się do Sobolewa, treść jej zmieniła się nie do poznania. Każdy z osobna dodawał coś swojego... Więc gdy dotarła do domu Berka, nabrała tak strasznej treści, że biedna żona Berka zemdląła dziesięć razy pod rząd i trzeba było wezwać lekarza.

Toteż wysypał się na stację tłum Żydów z Sobolewa, niczym gwiazdy na niebie, i powstał taki zgielk, że sam naczelnik stacji musiał wydać rozkaz żandarmowi, aby oczyścił peron z sobolewskich Żydów.

Jeśli tak, to możemy śmiało opuścić stację i wrócić do naszego Żyda i popa – to znaczy na pędzący parowóz. Łatwo powiedzieć: zobaczymy, co się dzieje na parowozie... Któż może wiedzieć, co tam się dzieje? Musimy zatem wierzyć na słowo sobolewskiemu fabrykantowi octu. Opowiada on takie rzeczy, że gdyby połowa z nich okazała się prawdziwą, to by człowiekowi włosy stanęły dęba ze strachu. A zdaje mi się, że Essigmacher to porządny człowiek i nigdy nie kłamie...

– W chwili gdy lokomotywa ruszyła – opowiada Berek Essigmacher – nie pamiętam wcale, co się ze mną działo. Nie tyle ze strachu, ile że pojąć nie mogłem, dlaczego maszyna nie chce mnie słuchać? Siłą rzeczy, gdy po raz drugi obrócił regulator, powinna była stanąć.

Lecz ona pędziła szybciej jeszcze niż przedtem. Jak gdyby dziesięć tysięcy czartów popychało ją naprzód! Gnała tak szybko – opowiada Berek – że słupy telegraficzne migają mu w oczach niby przelatujące muchy, w głowie huczało, a nogi się pod nim ugiwały...

Później nieco, gdy wrócił do przytomności, przypomniał sobie, że lokomotywa ma hamulec i można ją w ten sposób zatrzymać. Bywają hamulce ręczne – objaśniał Berek – i hamulce pneumatyczne. Jest takie koło, które, odpowiednio zakręcone, naciska dźwignię i lokomotywa zatrzymuje się w biegu. Jak to mu mogło z głowy wywietrzeć? Nie do pojęcia! Podeszedł więc do koła i chciał je obrócić w lewą stronę. Wtem ktoś ujął go za rękę:

– Stój!

Kto to? Wyobraźcie sobie, że pop, blady jak płótno.

– Co chcesz zrobić? – bełkoce drżącymi wargami.

– Nic szczególnego – odpowiada Berek. – Chcę zatrzymać maszynę!

– Niech Bóg uchowa! – woła pop. – Nie waż się tknąć maszyny! A jeśli mnie nie posłuchasz, to schwycę cię za kołnierz i zrzucę z lokomotywy, a wtedy zapomnisz, że byłeś kiedyś Moszkiem!

– Nie nazywam się Moszek, tylko Berek – mówi Żyd i chce mu pokazać, na czym polega działanie hamulca. Lecz pop nie pozwala sobie nic powiedzieć.

– Dostyc tego kręcenia! Kręciłeś i nakręciłeś biedy – niechże cię pokręci; przeklęty człowieka! Lepiej, byś połamał ręce i nogi, zanim się na mnie uwziąłeś...

Na to Berek:

– Może sądzisz, ojczulku, że nie cenię swego życia tak jak ty?

– Twoje życie – rzecz rozgorzyczony pop – tyleż warte co psie życie.

Rozgniewało to Berka nie na żarty i palnął popowi takie kazanie, że ten chyba na długo je popamięta:

– Po pierwsze, życie psa jest również życiem boskiego stworzenia, nad którym trzeba się litować. Według naszego Zakonu nie wolno nawet psu wyrządzić krzywdy. Po drugie, dlaczego twoje życie ma być Panu Bogu miłsze od życia innego człowieka? Czyż nie pochodzimy wszyscy od jednego przodka, Adama? I czy nie wracamy wszyscy do jednego miejsca – do ziemi? A poza tym – dodał Berek – jaka zachodzi różnica między mną a tobą? Ja robię wszystko, żeby zatrzymać lokomotywę dla naszego wspólnego dobra, a ty jesteś tak rozjątrzony, że chcesz mnie wyrzucić z lokomotywy – to znaczy, chcesz zabić człowieka!

Wiele jeszcze dosadnych słów usłyszał pop z ust Berka, nie licząc morałów i sentencji, przeplatanych licznymi przykładami z Pisma świętego.

Pop ledwo się trzymał na nogach. I oto prowadząc taką rozmowę – opowiada Berek – ujrzeli stację Zadkowice, naczelnika stacji i żandarma. Więc zaczęli wymachiwać rękami, ale nikt nie rozumiał, o co im chodzi. Musieli jechać dalej, a wtedy pop już złagodniał. Lecz mimo to nie pozwalał Żydowi zbliżyć się do hamulca. Zagadywał go jeno:

– Odpowiedz mi, Lejbku, na pytanie...

– Nie jestem Lejbek, tylko Berek.

Na to pop:

– Czy nie chciałbyś wyskoczyć razem ze mną z lokomotywy?

– Po co? – odpowiada Berek. – Żeby się zabić?

Rzecz pop:

– Wszystko jedno. I tak śmierć stoi za naszymi plecami...

Ale Berek nie zgadza się:

– Skąd ta pewność? Jeżeli Bóg zechce, to czego nie może zdziałać? Posłuchaj, co ci powiem. U nas, Żydów, dzień dzisiejszy jest dniem Hoszano Rabo. Dziś w niebie każde stworzenie boskie zostaje naznaczone znakiem życia lub śmierci. W tym dniu rozstrzyga się, kto żyć będzie, a kto umrze – a jeśli umrze, to kiedy i jaką śmiercią... Więc jeżeli Bóg chce, że bym umarł, to przypało. Wszystko mi jedno, czy zabiję się przy wyskakiwaniu z lokomoty-

wy, czy od uderzenia gromu. Jeżeli Najwyższy zechce, można na równej drodze zwichnąć nogę... A jeśli sądzono mi żyć, to po cóż mam skakać? Szkoda tylko słów!

Berek Essigmacher z Sobolewa opowiadał w dalszym ciągu i zaklinał się, że nie kłamie. Sam nie pamięta, jak to się stało. Przybyli wkrótce do Hajsyna i z daleka już ujrzeli wysoki komin fabryki. Wtem poczuli, że lokomotywa zwalnia biegu, aż wreszcie stanęła. Dlaczego? Bardzo proste. Wygasł piec w parowozie... A w maszynie – objaśniał Berek – gdy piec wygasła, wtedy woda przestaje kipieć, koła przestają się kręcić i koniec. Podobnie jak, nie przymierzając, człowiek, któremu zabrakło jadła.

Naturalnie, że gdy tylko Stanęli, rzekł do popa:

– Widzisz, ojczulku? Gdyby Bóg w dniu dzisiejszym nie pozwolił mi dłużej żyć na ziemi, to kto wie, na jaki czas starczyłoby paliwa i dokąd byśmy zajechali?

Tak powiedział Berek, a pop spuścił oczy i milczy. Bo i cóż mógł odpowiedzieć? Dopiero później, przy pożegnaniu – opowiada Berek – wyciągnął rękę i rzekł:

– Wybaczcie, Icku...

– Nie jestem Icek, tylko Berek.

– Niech będzie Berek. Słuchaj, Berku, nie wiedziałem, że jesteś taki...

Więcej nie usłyszał Berek ani słowa, bowiem pop zakasał poły swej sutanny i puścił się na piechotę do domu, do Chołoniewa. A Berek poszedł prosto do nas, do miasteczka. Odmówił świąteczne modlitwy, a potem zasiadł w gronie przyjaciół do wieczerzy i opowiadał o swojej przygodzie, dodając za każdym razem nowe szczegóły...

Następnie wszyscy po kolei zapraszali go do siebie w gości, albowiem każdy chciał z jego ust usłyszeć o cudzie w Hoszano Rabo.

Możecie sobie wyobrazić, jakie radosne były w tym roku święta!

WESELE BEZ GRAJKA

Jeśli się nie mylę, to przyrzekłem wam opowiedzieć jeszcze jedną historię o cudzie, który zdarzył się znów dzięki naszemu „Próżniakowi”. Dzięki niemu uniknęliśmy wtedy wielkiego nieszczęścia. Jeżeli chcecie posłuchać tej historii, połóżcie się, proszę, na ławce, a ja położę się na przeciwległej. Tak nam będzie wygodniej...

Tymi słowy przemówił do mnie kupiec z Hajsyna, gdyśmy pewnego dnia siedzieli w ciasnym przedziale miejscowego pociągu, zwanego „Próżniakiem”. Ponieważ wagon był ogrzany, a my sami w przedziale, zdjęliśmy marynarki, rozluźniliśmy krawaty i poczulimy się jak u siebie w domu.

Ja leżę na jednej ławce, a on na drugiej. Mój znajomy – zgodnie ze swym zwyczajem – opowiada powoli i rozwlekle, a ja słucham uważnie i notuję sobie w pamięci niektóre słowa, aby je móc potem powtórzyć.

– Działo się to, nie daj Boże, za czasów konstytucji, akurat wtedy, gdy zaczęto bić Żydów. Co prawda, w Hajsynie nie obawialiśmy się pogromu. A to dlaczego? Po prostu dlatego, że u nas nie ma kto bić... Proszę sobie wyobrazić, że nie ma! Gdyby jednak pilnie poszukać, może znaleźliby się i tacy, którzy chcieliby nas poturbować, to znaczy połamać nam kości. Świadczy o tym chociażby taki fakt: gdy zaczęły docierać do naszego miasteczka niepokojące wieści, wtedy kilku okolicznych osobników wysłało w ścisłej tajemnicy list adresowany tam, gdzie należy: „Trzeba będzie w Hajsynie również coś urządzić, a ponieważ nie ma tu odpowiednich ludzi, przeto prosimy, aby ich przysłać, i to czym prędzej...”

Nie minęła jeszcze doba, a już szeptano sobie na ucho, że „ludzie” idą. Skąd? Ze Żmerynki, z Koziatyna, Kadzielna i z innych miast, które wsławiły się biciem Żydów. Zapyta pan, skąd dowiedziano się u nas o tej tajemnicy? Mieliliśmy swoje „źródło”. Nazywał się Nuchem Cienkonogi. Cóż to za stworzenie? Jedzie pan do nas, więc muszę pana zaznajomić z tym człowiekiem. Nuchem Cienkonogi to Żyd, który rósł stale w górę, a nigdy wszerek. Bóg dał mu parę długich nóg, więc robi z nich użytek. Nigdy nie odpoczywa, a rzadko bywa domu. Stale ma tysiące interesów na głowie, a są to interesy nie jego, lecz cudze. Właściwym jego zawodem jest drukarstwo. Nuchem posiada jedyną drukarnię w Hajsynie i właśnie dzięki tej drukarni ma stosunki z władzą, z dziedzicami, z urzędnikami – i stąd zna wszystkie tajemnice.

Z tego to „źródła” doszła nas owa wiadomość. To znaczy: on sam wypaplał na mieście tajemnicę. Naturalnie, że każdego z osobna zapewniał: „Tylko wam to opowiem, innemu bym nie zaufał...” W ten sposób całe miasteczko powtarzało sobie, że idą chuligani i będą bić Żydów. Wiedziano, w jakim dniu, o której godzinie przyjadą, jak będą bić i gdzie – każdy szczegół był wiadomy, ściśle według zegara. W mieście powstała panika. Naturalnie, że najbardziej rozpaczały najuboższe warstwy. Dziwna rzecz! Jeśli bogacz lęka się podobnych rzeczy, to jeszcze rozumiem. Lęka się, bo przy najmniejszych rozruchach może zostać biedakiem. Ale wy, biedacy, czego się obawiacie? Co wam zabiorą? Trzeba było widzieć, jak chwymano dzieci na ręce i coś niecoś z dobytku i jak ludzie zaczęli szukać kryjówek. Gdzie się ukrywają Żydzi? Wiadoma rzecz. Jeden w piwnicy u znajomego chrześcijanina, drugi u rejenta na strychu, trzeci u dyrektora w fabryce. Każdy znajduje sobie kryjówkę...

Ja tylko jeden, jak mnie pan widzi, nie zamierzałem się ukrywać. Nie chcę się tu chwalić, ale przyznacie sami, że miałem słuszną przeczucie. Przede wszystkim pytam: skąd ta pewność, że należy obawiać się pogromu? A zresztą, może i schowalbyśmy się – ale gdzie? Skąd nabrać przekonania, że właśnie ów chrześcijanin, rejent lub dyrektor... Rozumie pan? Poza tym, jak tu porzucić wszystko i zostawić ma łasce losu? Uciekać – to nie sztuka! Trzeba znaleźć inną radę...

Co można przedsięwziąć w podobnych wypadkach? Władza! Chyba u was w miasteczku jest również taki, co ma dostęp do władzy. My też mamy takiego. Nazywa się Nechemiasz Zezowaty. Jest dostawcą, ma własny dom, nosi aksamitną kamizelkę i strzyżoną bródkę. A

ponieważ jest dostawcą i udziałowcem w budowie szosy, dlatego jest wszędzie mile widziany. Naczelnik policji pije z nim herbatę przy jednym stole. A urzędnik ten był akurat porządnym człowiekiem. Rzec można, brylantem wśród urzędników. Brał łapówki, ale tylko przez Nechemiasza. Brał z największą przyjemnością, jako że od dostawcy – rozumiecie?...

Jednym słowem, umówiono się z Nechemiaszem, ułożono listę ofiarodawców i wkrótce znalazły się pieniądze. Zebrano ładną sumkę, bo czasy były niespokojne, więc nie wypadało pójść do jasnie pana i nie napluć w garść tak, aby poczuł. Rozumie się, że jasnie pan uspokoił nas. Powiedział po prostu, że możemy spać spokojnie, że nic z tego nie będzie. Zdawałoby się – wszystko w porządku. Ale przecież u nas w Hajsynie istnieje „źródło”, które wie o wszystkim i nazywa się Nuchem Cienkonogi. Ten rozpuszcza wieści, niby to w tajemnicy, że nadeszła depesza, którą, jak przysięga, sam widział, depesza „od nich”. A co w tej depeszy? W depeszy jest jedno słowo: „Jedziemy.” Straszne słowo!

Więc udajemy się do naczelnika i podnosimy krzyk:

– Panie, źle z nami!

Na to on:

– Dlaczego źle?

Mówią mu:

– Nadeszła depesza.

A on pyta:

– Skąd?

Dowiedziawszy się, zadaje dalsze pytanie:

– A co w tej depeszy?

Odpowiadają mu:

– „Jedziemy.”

Roześmiał się i mówi:

– Głupcy! Jeszcze wczoraj rozkazałem sprowadzić z Tołczyna setkę kozaków...

Gdyśmy usłyszeli słowo „kozacy”, to jakbyśmy ożyli na nowo! Żyd na widok kozaka nabiera pewności siebie i wtedy może całemu światu pokazać figę. Wszystko zależało od tego, kto przyjedzie wcześniej: kozacy z Tołczyna czy chuligani ze Żmerynki. Zdrowy rozsądek dyktował, że chuligani przyjadą wcześniej, jako że jechali koleją, a kozacy galopowali konno. Całą nadzieję pokładano w „Próżniaku”, który z zasady się nie śpieszy. Jest przecież Bóg w niebie! Może uczyni cud i „Próżniak” spóźni się o kilka godzin. Wszak to rzecz zwykła, zdarza się codziennie...

Ale tym razem nie było cudu. Jakby na przekór, pociąg przybywał na każdą stację punktualnie, według rozkładu jazdy. Rozumiecie chyba, ile zdrowia nam to zabrało i jaka panika ogarnęła miasto, gdy dowiedziano się – oczywiście ze „źródła” – że jest już depesza z ostatniej stacji: „Jedziemy.” I nie tylko: „Jedziemy”, lecz „Jedziemy i hura!!!”

Naturalnie, że wiadomość tę od razu zakomunikowano naczelnikowi. Padliśmy na kolana, błagaliśmy, aby nie liczył na kozaków, którzy mają przybyć, lecz wysłał policję na dworzec, choćby dla pozorów. Niechaj nie myślą, że miasto jest bez opieki i można do woli pohulać!

Nie dał się długo prosić i uczynił zadość naszym błaganiom. Nie dość na tym. Sam w mundurze wojskowym, ze wszystkimi orderami i całą paradą, razem z policją wyszedł na dworzec na spotkanie pociągu.

Ci, którzy wzywali chuliganów, również zaczęli działać. Wystroili się odświętnie, przypięli ordery, wzięli ze sobą kilku popów i również wyszli na spotkanie pociągu.

Pyta ich naczelnik:

– Co wy tu robicie?

Lecz oni zadali mu to samo pytanie:

– Co ty tu robisz?

Od słowa do słowa dał im naczelnik do zrozumienia, że wysiłki ich na nic się nie zdadzą. Dopóki on tu ma władzę, dopóty nie będzie w Hajsynie pogromu. Tak im powiedział, do słuchu. Uśmiechali się i odparli ze złością:

– Zobaczymy...

A gdy to słowo wyrzekli, z daleka dał się słyszeć gwizd. Od tego gwizdu zamarło w nas serce. Wkrótce usłyszeliśmy drugi gwizd, któremu zawtórowało „hura!” na peronie. A co po takim „hura!” następuje, to wiemy już z historii innych miast.

Krótko mówiąc – co nastąpiło? Dawano sygnały, ale na próżno. Dlaczego? Zdarzyło się coś, co tylko zdarzyć się może z naszym „Próżniakiem”. Posłuchaj pan! Dojechawszy do stacji Hajsyn maszynista zeskoczył z lokomotywy i swoim zwyczajem udał się do bufetu. Zatrzymano go:

– Hej! A gdzie wagony?

– Jakie wagony?

– Czy nie widzisz, żeś przyjechał sam, bez wagonów?!

Spojrzał na nich i mówi:

– To nie moja rzecz. Wagony należą do brygady...

– A gdzie jest brygada?

Odrzekł:

– Cóż to mnie obchodzi? Konduktor gwizdnął, że gotowe, więc puściłem w ruch maszynę. Dwóch par oczu nie posiadam. Nie patrzę za siebie...

Tak odpowiedział im maszynista, I rzeczywiście, miał rację. Co tu dużo gadać? „Próżniak” jest, a pasażerów nie ma. Wesele bez grajka...

Jak się później okazało, jechała do nas wcale dobrana kompania. Chłopy jak dęby, z całym aparatem pogromowym – z pałkami, kastetami i innymi narzędziami. Byli w dobrych humorach. Wódka lala się strumieniami i dzięki tym humorom na ostatniej stacji przed Hajsynem upito konduktora, palacza i żandarma. Brygada zapomniała o drobnostce: nie przyczepiono lokomotywy do wagonów i lokomotywa ruszyła o właściwej godzinie do Hajsyna, a „Próżniak” pozostał na stacji w Krzysztofówce. I co więcej! Nikt – ani miła kompania, ani konduktor, ani żaden z pasażerów nie zauważył, że lokomotywa uciekła, a wagony stoją. Dopiero później powstało zamieszanie. Zauważono pomyłkę i kompania rzuciła się na brygadę, a brygada na kompanię. Mówiono, krzyczano, aż uradzono, że nie ma innej rady: trzeba nogi wziąć za pas i pomaszerować piechotą do Hajsyna.

Kompania z wielkim zapalem ruszyła w drogę do Hajsyna. Wkrótce ujrzeliśmy ich w miasteczku, przybywających ze śpiewem i gromkim „hura!”, jak Bóg przykazał. Ale przybyli za późno. Na ulicach patrolowali już kozacy z Tołczyna z nahajkami w rękach i utrzymywali porządek. W godzinę później chuligani ulotnili się z Hajsyna. Rozbiegli się jak głodne myszy, stopnieli jak śnieg latem...

Pytam się tedy, czy nie zasłużył na to nasz „Próżniak”, aby go ozłocić lub co najmniej – aby go opisać?

CYCES¹⁰

Mówicie o nieszczęściach, o pożarach? Opowiem wam coś ciekawego o tym, jak to się wyciąga pieniądze na rzecz pogorzalców z kieszeni bogacza – skąpca, który nigdy nie dał grosza jałmużny...

W te słowa odezwał się mój sąsiad w wagonie, po śniadaniu, zapalając papierosa i częstując mnie również.

Zdawało się, że historia, którą chciał mi opowiedzieć, sprawiała mu wielką przyjemność. Albowiem nim zaczął ją opowiadać, roześmiał się głośno, jak gdyby sobie przypomniał coś nader zabawnego. Takiemu człowiekowi trzeba pozwolić naśmiać się do syta, w przeciwnym razie całe opowiadanie się nie uda.

Mój sąsiad wykaszłał się i rozpoczął tymi słowami:

– Znacie już kilka typów z naszego miasteczka. Dziś was zapoznam z nowym osobnikiem. Nazywa się Joel Taszkier. Można powiedzieć bez przesady: stworzenie niewarte dwóch groszy. Mały, chudy, zasuszony, z rzadką, rozwichrzoną bródką. A przy tym bogacz. Co mówię, bogacz? Potentat, milioner. Wprawdzie nie liczyłem jego pieniędzy i nie wiem, czy doprawdy ma milion ani ile brakuje mu do pół miliona. W każdym bądź razie nie jest on wart tego, co posiada. Mówię panu. – świnia. Trudniej od niego wydostać jałmużnę niż suchą nogą przejść morze. Nie ma w miasteczku takiego żebraka, który by mógł się pochwalić, że otrzymał od Joela Taszkiara kromkę suchego chleba. Taszkier słynie z tego w miasteczku. Stało się nawet zwyczajem, że gdy żebrak krzywi się z powodu zbyt małej jałmużny, doradzają mu: „Idź do Joelka Taszkiara, on da ci więcej...” Taki to przyjemniaczek z tego Taszkiara! A może przypuszcza pan, że to jakiś nieuk, krętacz lub dorobkiewicz? Broń Boże! Jedynek, z dobrej rodziny, zna gruntownie Talmud i bardzo uczciwy w interesie. Nikomu nie zrobi nic złego, byleby nie tykać jego własności. „Co moje, to moje, a co twoje, to twoje” – wie pan, jak to się mówi... Zajmuje się właściwie pośrednictwem przy sprzedaży domów, a klientami jego są dziedzice i wielcy panowie. Dzień i noc upływa mu na bieganiu i kłopotach. Jeździ, lata, nie śpi, zbyt skąpy, żeby się kim wyręczyć, wszystko załatwia sam... Nie wie, co to rodzina lub dzieci. Wprawdzie miał kiedyś dzieci, ale wygnał je z domu – podobno żyją w Ameryce. Po śmierci żony wyrzucił dzieci na bruk, a żona, powiadają, umarła z głodu. Może to i kłamstwo. A może prawda? Przecież z drugą żoną rozwiódł się po dwóch tygodniach. Dlaczego? Przyczyną rozwodu była szklanka mleka. Cha, cha, cha – jakem Żyd! Spotkał ją pewnego dnia, gdy niosła kubek z mlekiem. I rzekł do niej: „Albo pijesz mleko dlatego, że masz suchoty. A w takim razie na co mi się przydasz? Albo pijesz mleko ot tak sobie, bo ci smakuje. W takim razie jesteś zbyt rozrzutna dla mnie!...”

Za to miał jedną zaletę. (Czy istnieje człowiek, który posiada same wady?) Był bardzo pobożny. Ale to niebywale pobożny. Chcesz być pobożny, bądź sobie na zdrowie! Lecz on chciał, żeby cały świat był taki. Strażnik boży. Nie mógł patrzeć na Żyda z obnażoną głową. Wściekał się, gdy widział mężatkę bez peruki, i oburzał się na rodziców, którzy oddawali swe dzieci do gimnazjum.

Zdarzyło się, że lokatorem jego został adwokat, jeden z dawnych adwokatów. Naturalnie, że nie był nabożny, nie nosił czapki, golił brodę, palił w sobotę papierosy. Poza tym wszystko czynił, jak się należy. Nazywał się Kompaniewicz. Był to człowiek postawny, rosły, szeroki w barach, trochę przygarbiony, o pociągłej twarzy, z chytrymi oczyma. Na pozór milczący, łagodny, cicha woda, a w istocie rzeczy hulaka. Dochody swe czerpał nie tyle z adwokatury, ile z uprawiania hazardowej gry w karty. W jego mieszkaniu odbywały się wieczorki, na których zbierała się złota młodzież miasteczka.

¹⁰ C y c e s – frędzle noszone przez pobożnych Żydów przy czterech rogach kaftana.

Jeśli sąsiad twój nie jest cadykiem¹¹ – to co ci do tego? Najwyżej nie musisz się z nim przyjaźnić – czy tak? Naturalnie. Ale Joel Taszkier nie mógł ścierpieć, że jego lokator nastawia samowar w sobotę, że w postny dzień każe gotować mięsna, gorącą zupę, że nie uznaje bielienia naczyń na Pesach, no i popełnia inne grzechy. Pomstował tedy Taszkier na sąsiada, wygadywał co się da, opowiadał wszystkim głośno: „Czy widzieliście, do czego dochodzi bezczelność tego zaprzańca? W moim sąsiedztwie śmie w sobotę nastawiać samowar!” Gdy to usłyszał Kompaniewicz, kazał w następną sobotę nastawić dwa samowary. Joela Taszkiera o mało co szlag nie trafił. Człowieku! Wymów mu mieszkanie, a pozbędziesz się obrazy boskiej! Ale Taszkier tego nie robi. „Najregularniej płaci mi komorne” – powiada.

Tak oto zaznajomiłem was z dwoma typami. Teraz przedstawię wam trzecią osobę, Frojkę Szajgeca. Też mi osoba! Lecz w mojej opowieści odgrywa główną rolę. Opiszę go wam. To młody człowiek, o którym mówią, że jest „mieszkańcem”. Jakby na pół chasyd, na pół Francuz. Nosi długą kapotę, a na głowie kapelusz.. Białą koszulę, czerwoną chustkę, ale trudno dojrzeć, czy nosi cyces. W miasteczku powiadają o nim: ni to mężczyzna, ni niewiasta. Ale do bóżnicy pędzi jak strzała. Zajmuje się pośrednictwem i weksłami. Przez jego ręce przepływa mnóstwo pieniędzy: tysiące i krocie. Nikomu tak Taszkier nie ufał jak temu Frojce. Ilekroć chciano od niego pożyczyć pieniędzy, stale odmawiał. Lecz gdy Frojka zapewnił, że można pożyczyć, wtedy dawał bez wahania. Mylicie się, jeśli wam się zdaje, że Frojka był taki nieomyślny w sprawach pieniężnych. Był tylko mądry, sprytny, przebiegły, niebywały gębacz. Biada temu, kogo wziął na język! Rozumiecie teraz, dlaczego nazywano go „Szajgecem”, choć naprawdę zwał się Efraim Kac.

Znacie już teraz owe trzy typy. Trzeba trafu, że właśnie tego lata szalały pożary – spaliło się gdzieś całe miasteczko. Zaczęto wysyłać listy, depesze wzywające rychłej pomocy – jako że wszyscy Żydzi w miasteczku znaleźli się bez dachu nad głową, przymierają głodem. W naszym miasteczku podniósł się krzyk: Żydzi litościwi, dlaczego milczycie? Dlaczego nic się nie robi? Tędy – owędy wysłano delegację, żeby zbierała ofiary dla pogorzalców. Kto należał do delegacji? Oczywiście ja i jeszcze kilku obywateli, a wśród nich Frojka Szajgec, albowiem do takich przedsięwzięć przyda się wyszczekany człowiek. Dokąd idziemy przede wszystkim? Rzecz prosta, do bogaczy. Przychodzimy do Joela Taszkiera.

– Dzień dobry, reb Joel!

– Dzień dobry, moi mili! Co słyhać u was? Usiądźcie, proszę...

Mówi grzecznie, delikatnie, jak przystoi, bo – trzeba wam wiedzieć – Joel Taszkier jest bardzo gościnny. Gdy przekroczycie próg jego mieszkania, przyjmie was życzliwie, zaprosi, poda wam krzesło, pomówi z wami grzecznie – aż do chwili, kiedy zaczniecie mówić o pieniądzech. A gdy wspomnicie o pieniądzech, twarz jego zmienia się nie do poznania. Joel przyryka lewe oko, wciąga prawy policzek, jak człowiek dotknięty paraliżem. Aż litość bierze, gdy się patrzy na niego.

O czym to mówiliśmy? Aha! Przyszła więc delegacja do Joela Taszkiera i rzecze:

– Dzień dobry, reb Joel!

– Dzień dobry! Siadajcie! Co słyhać nowego?

– Przyszliśmy prosić was o datek.

Zamknęło się jedno oko Joela i zapadł jeden policzek.

– Datek? Nagle, wśród białego dnia – datek?

A na to Frojka, ponieważ był najśmielszy:

– Trzeba coś ofiarować, reb Joel! Niewątpliwie słyzałeś już o tym? Całe miasteczko, nie daj Boże, spłonęło. Drażnów...

– Co mówicie? Drażnów spalony? Istne nieszczęście! Ulokowałem tam tyle pieniędzy!

¹¹ C a d y k – dosł.: człowiek sprawiedliwy; w ludowej gwarze: uosobienie wszelkich cnót.

Jał mu tedy Frojka tłumaczyć, że jego klientów to nie dotyczy, że spłonął tylko dobytek najuboższej ludności. Ale szkoda słów, skoro tamten nie słucha. Biega po pokoju jak opętany i w kółko powtarza:

– Ach, ja nieszczęsny! Czekam na nędza! Nie mówcie teraz do mnie! Zabiliście mnie tą wiadomością! Nie przeżyję tego ciosu!

Czekamy, czekamy... Potem wstajemy, żegnamy się:

– Do widzenia, reb Joel!

Gdyśmy opuścili mieszkanie bogacza, rzekł do nas Frojka Szajgec:

– Słuchajcie, Żydzi! Jakem Froim Kac, przysięgam wam, że wyciągnę z tego sknery setkę rubli na pogorzalców.

– Co mówisz, Froimku, oszalałeś?

– Nie oszalałem, a pieniądze wam przyniosę. Znaicie mnie – jestem Frojka Kac.

Niech i tak będzie...

Posłuchaj pan dalej.

W kilka dni później jechał nasz bogacz do Tołczyna na jarmark, a jego lokator Kompaniewicz jechał również tym samym pociągiem i nawet w tym samym wagonie. Rozmowa, gwar, jak zwykle w pociągu. Joel Taszkier siedział przy oknie, w kąciaku, i zerkał jednym okiem do świętej księgi.

Cóż on ma wspólnego z tymi pasażerami? A szczególnie z tym hultajem Kompaniewiczem, którego golonej gęby nienawidzi... A właśnie, jakby na złość, usiadł ów Kompaniewicz naprzeciw niego i milczy. „Mój Boże – myśli Joel. – Jak pozbyć się tego heretyka? Przejść do drugiej klasy? Szkoda pieniędzy. Pozostać i patrzeć na tę zakazaną mordę i bękartie ślepiec?...”

Na szczęście, Bóg zdziałał cud i na pierwszej stacji zesłał mu znajomego, a był nim Froim Szajgec. Joel Taszkier odetchnął swobodniej, jakby wlaź w nową skórę. Można będzie pogadać z człowiekiem.

– Dokąd to jedziecie?

– A wy dokąd?

I potoczyła się rozmowa. O czym? To i owo, i tamto. W końcu przeszli na ulubiony temat Joela: dzieci w dzisiejszych czasach. Puste głowy, rozpustne dziewczęta, samowola. Froim Szajgec odgrzewał stare historie: o tym, jak to czyjaś synowa uciekła z oficerem, jak pewien młodzieniec w dwóch miastach pojął dwie żony. O chłopcu, który nie chciał wkładać tefilin¹², a gdy ojciec go ukarał – pobił rodzzonego ojca.

– Słyszeliście? Zbił własnego ojca!

W wagonie powstał gwar: wszyscy byli oburzeni, a najwięcej – Joel Taszkier.

– Tak, tak, sprawdziły się moje słowa! Powiedziałem! Rozprzężenie obyczajów! Dzieci żydowskie nie chcą się modlić! Nie chcą nakładać tefilin...

– Mniejsza o tefilin – odezwał się nagle Kompaniewicz, który dotychczas milczał. – Tefilin mogą sobie nakładać lub nie, jak im się żywnie podoba. Ale nie o to chodzi. Bardziej mi zależy na cyces. To mnie szczególnie oburza, że nasza młodzież wcale ich nie nosi. Przyznaję, że z tefilin ma się więcej kłopotu. Trzeba je nakładać i zdejmować. Ale cóż to szkodzi nosić cyces gdzieś tam pod koszulą?

Tymi słowy przemówił ów bezbożnik Kompaniewicz, a powiedział to tak spokojnie i powoli, że Joel Taszkier osłupiał ze zdumienia. Gdyby w tej chwili uderzył piorun lub pociąg się wykołoił, byłby mniej zaskoczony. Cóż to? Czy nadeszły czasy Mesjasza? Ten świniózerca mówi o cyces?!

I Taszkier odezwał się nie do Kompaniewicza, lecz do Frojki:

¹² Tefilin – rzemyki z dwoma skórzanymi pudełeczkami zawierającymi fragmenty z Tory, przytwierdzone przez modlących się Żydów do czoła i do lewego ramienia.

– Jak ci się podoba ten cadyk? Cha, cha, cha... On też mówi o cyces?...

– A dlaczego nie? – odparł Froim udając, że nie zrozumiał, o co chodzi. – Czy ten pan nie jest Żydem?...

Joela Taszkiera ogarnęła złość. Po pierwsze, co to za „pan”, a po drugie, z jakiej racji uważać Kompaniewicza za Żyda? Ładny mi Żyd! Żyd, co nastawia samowar w sobotę, Żyd, co spożywa gotowane potrawy mięsne w postny dzień! Żyd nie bielący nawet naczyń na Pesach! I taki Żyd ma śmiałość mówić o cyces!

– Co z tego? – pyta udając naiwniaka Froim. – Co ma piernik do wiatraka? Taki Żyd jak Kompaniewicz może robić to wszystko, coście wyliczyli, a jednak jestem pewny, że nosi pod koszulą cyces...

– Kto? Ten bezbożnik? – zawołał Taszkier. – Ten hultaj, ten wyrzutek Izraela?!

Żydzi w wagonie umilkli, patrzą na Kompaniewicza, a Kompaniewicz nie puszcza pary z ust. Milczał też Frojka... Lecz nagle zerwał się z miejsca jak człowiek, który postanowił zaryzykować:

– Wiecie co, reb Joel? Jestem zdania, że duszy żydowskiej nie można ocenić. Jeśli Żyd mówi o cyces, to z pewnością sam je nosi. Stawiam sto rubli na pogorzalców i wy też postawcie tyle – i poprośmy tego pana, aby zechciał rozpiąć marynarkę i pokazać, czy nosi cyces...

– Słusznie, słusznie! – wołają pasażerowie, a w wagonie zaczyna być gwarno i wesoło. Żydzi rozmawiają i gorączkują się. Tylko Kompaniewicz milczy, obojętny na wszystko, jak gdyby nie o niego tu chodziło.

A nasz Joel Taszkier? Zimny pot oblał biedaka. W życiu swym ani razu nie założył się nawet o dwie kopiejki. I nagle ma się założyć o całe sto rubli? A co będzie, jeśli okaże się, że ten nicpoń nosi istotnie cyces? Zawahał się, lecz pomyślał po chwili: „Co tam! Kompaniewicz? Ten heretyk? Głowę swoją daję, że nie nosi...” Szybko rozpina kapotę, wyjmując sturubłówkę.

Wybrali spośród pasażerów dwóch statecznych Żydów i złożyli na ich ręce pieniądze. Zwracają się teraz do Kompaniewicza, aby się rozebrał. Ani mu się śni!

Kompaniewicz jął się oburzać:

– Cóż to, uważacie mnie za smarkacza czy za komedianta? Żądacie, abym się rozebrał wśród białego dnia – tu, w wagonie, wobec tylu Żydów?!...

Usłyszawszy to Taszkier aż podskoczył z radości.

– Aha! – rzekł rozpromieniony do Frojki. – Kto miał rację? Ja czy ty? O, znam moich sąsiadów! I taki Żyd będzie mi tu gadał o cyces! Cha, cha, cha...

Niedobrze. Co począć? Wszyscy Żydzi w wagonie zwracają się do Kompaniewicza:

– To przecież ważna rzecz! Niech pan pomyśli: jakkolwiek będzie, sto rubli wpłynie na rzecz głodnych, nieszczęśliwych pogorzalców!

– Dla nieszczęśliwych pogorzalców... – pomaga im Joel Taszkier unikając wzroku Kompaniewicza.

– Żydzi leżą tam pod gołym niebem – tłumaczą Kompaniewiczowi.

– Tak – dopomaga Taszkier. – Leżą pod gołym niebem... Czy to możliwe, aby Żyd nie miał Boga w sercu?

Tędy – owędy, z trudem zdołano namówić Kompaniewicza do rozpięcia marynarki, kamizelki i koszuli. I proszę sobie wyobrazić, co to za typ! Okazało się, że Kompaniewicz nosi pod koszulą cyces. I to nie byle jakie! Duże, jak się patrzy, w niebieskie pasy, z podwójnie plecionymi rabinicznymi frędzlami. Cyces nad cycesami!...

To tylko potrafi taki kpiarz jak Frojka Szajgec. Zresztą po pewnym czasie wyznał bogaczowi, jakiego mu spłatał figla. Odtąd nie wolno mu się Joelowi pokazywać na oczy...

A jednak udało mu się wyciągnąć dla pogorzalców całe sto rubli – i od kogo? Od skąpca, liczykrupy, który nigdy jeszcze nie dał jałmużny ani kawałka chleba żebrakowi...

Niechże Pan Bóg da zdrowie temu Frojce!

SZEŚĆDZIESIĄT SZEŚĆ

Opowiadał mi to w wagonie stary Żyd o wcale przyzwoitym wyglądzie – komiwojażer jak ja, a może nawet kupiec. Powtarzam tę historię tak, jak mi opowiedział, słowo w słowo.

W podróży, jak wiadomo, trudno się zorientować, z kim można porozmawiać i zawrzeć znajomość.

Po pierwsze, nie wszyscy pasażerowie są jednakowi. Bywają tacy, co lubią mówić dużo, niekiedy za wiele. Miałą ozorem, aż uszy puchną. I bywają tacy, którzy nie odezwą się ani słowem. Milczą jak zakłęci. Dlaczego milczą – nie wiadomo. Może ciąży im coś na sercu? Może cierpią na katar żołądka, melancholię lub ból zębów? A może uciekli z piekła domowego, od swarliwej żony, złych dzieci, podłych sąsiadów, marnych interesów? Któż może wiedzieć, co komu dolega? Wiem, odpowiecie mi: na wszystko znajdzie się rada. Gdy nie ma z kim rozmawiać, któż nam broni czytać gazetę lub przeglądać książkę? Ale co dobre w domu, to nie w podróży. W domu mam swoją gazetę. Tak się do niej przyzwyczaiłem jak na przykład do moich pantofli. Pańskie pantofle są może nowe, a moje stare, wydeptane i wyglądają – z przeproszeniem – jak rozgotowane pierogi, mają jednak zaletę, której pańskie nie posiadają: one są m o j e...

Z gazetą jest tak samo jak, nie przymierzając, z pantoflami. Mam sąsiada, który mieszka w tej samej oficynie, na tym samym piętrze co ja, drzwi obok drzwi. On abonuje gazetę i ja abonuję gazetę. On swoją, a ja moją. Powiadam więc pewnego razu:

– Po co pan ma osobno abonować gazetę i ja osobno? Zaabonuj pan ze mną do spółki moją gazetę – i będziemy obydwaj abonowali jedną.

A on na to:

– Owszem. Zgoda. Zaabonuj pan moją gazetę.

A ja do niego:

– Pańska gazeta to świstek papieru. A moja gazeta to prawdziwa gazeta.

Wtedy on wszedł na mnie:

– Kto panu powiedział, że moja gazeta to świstek papieru? A może jest wręcz odwrotnie?

Spytałem:

– Odkąd jesteś pan takim znawcą gazet? Na to mój sąsiad:

– A może pan jesteś znawcą?

– Ech – powiadam – co tam będę z panem gadał. Jesteś pan prostak i pyskacz, ot co!

Krótko mówiąc, on został przy swojej gazecie, a ja przy mojej.

Po pewnym czasie doszło znów między nami do sprzeczki. Właśnie wtedy, gdy w Odessie szerzyła się cholera. My obaj – to znaczy ja i mój sąsiad – prowadzimy interesy z Odessą. On ma swoje interesy, a ja moje. Schodzimy równocześnie ze schodów i spotykamy sprzedawcę gazet. Wzięliśmy od niego gazety: ja moją, on swoją; idziemy dalej i zaczynamy czytać. Co przede wszystkim czyta się w gazecie? Oczywiście telegramy. Przeglądam pierwszy telegram z Odessy: „Wczoraj zanotowano 230 wypadków cholery, w tym 160 śmiertelnych, Tołmaczow wezwał do siebie wszystkich kierowników szkół żydowskich...”

I tak dalej... Możemy sobie podarować Tołmaczowa i szkoły. To nic nowego. Od tego jest Tołmaczowem, żeby się interesował szkołami żydowskimi. W tej chwili interesuje mnie tylko cholera w Odessie... Odezwałem się do sąsiada, który siedł nie opodal, po tej samej stronie chodnika:

– Jak się panu podoba Odessa? Znów cholera.

A na to mój sąsiad:

– To niemożliwe.

Rozgniewał mnie nie na żarty. Co to za gadanie: „niemożliwe”? Przeczytałem mu więc telegram: „W Odessie zanotowano wczoraj 230 wypadków cholery, w tym 160 śmiertelnych.

Tołmaczow wezwał do siebie wszystkich kierowników szkół żydowskich...” I tak dalej. Mój sąsiad wysłuchał, a potem powiedział:

– Zaraz zobaczymy... I zanurzył nos w swojej gazecie.

Dotknął mnie tym do żywego, więc powiadam:

– Myślicie zapewne, że w swojej gazecie znajdziecie inne telegramy?

– Kto wie – odparł półgębkiem.

Złość mnie porwała.

– Czy sądzicie, że w waszej gazecie jest inna Odessa, inna cholera i inny Tołmaczow?

Nie odpowiedział, ale nie przestał szukać w swojej gazecie telegramów z Odessy.

I mówcie tu z takim chamem!

O, nie! W podróży jest stokroć lepszy sposób spędzenia czasu: partyjka kart, sześćdziesiąt sześć.

Karty, jak wiecie, to pokusa. Ale w podróży karty to jedyna rozkosz. Gdy zagrać partyjkę, czas mija jak we śnie. Rzecz jasna, że przede wszystkim trzeba znaleźć odpowiednich partnerów. Albowiem, uchowaj Boże, można czasem wpaść, i to paskudnie! Musicie się pilnować, żeby się nie dostać w ręce szulerów, którzy w mig was ograją i wystrychną na dudka. A tak trudno przecież odróżnić szulera od porządnego człowieka!

Bywa nawet wprost przeciwnie. Zawodowi gracze wyglądają często jak niewiniątka, gorączkują się przy każdej przegranej niczym nowicjusze – dopóty, dopóki was nie wciągną do swego grona. Potem dają wam sposobność do wygrania raz, drugi i trzeci. Następnie karta się odwraca, zaczynacie przegrywać, a wtedy już przepadliście z kretesem!

Bądźcie pewni, że nie wydostaniecie się z ich szponów, póki nie przegracie zegarka, dewizki i wszystkiego, co ma jakąś wartość. Czujesz, że wpadłeś w ręce szulerów, a jednak gnasz na oślep jak jagnię w paszczę wilka. O, znam ja dobrze tych łotrów! Kosztowało mnie to bardzo drogo. Mógłbym wam o nich opowiadać bez końca. W podróży człowiek nasłucha się wielu rzeczy!

Znam na przykład, historię o pewnym kasjerze, który przewoził czyjeś pieniądze – pokazną sumkę. A gdy zasiadł do kart, zgrał się do nitki, tak że chciał wyskoczyć z pociągu, i to w pełnym biegu...

Mogę wam też opowiedzieć, co słyszałem o jednym nowożeńcu z Warszawy, który wracał do rodzinnego miasteczka z posagiem żony i posag ten przegrał do ostatniego grosza. Biedak dostał na miejscu apopleksji...

Wiem też, co się stało ze studentem, który jechał do domu na święta i wiózł ze sobą trochę pieniędzy zdobytych ciężkim móżdżem, lekcjami, a w domu oczekiwała go stara matka i chora siostra...

Jak widzicie, wszystkie te historie mają jednakowy początek, a przede wszystkim jednakowy koniec. Ale nikt nie zna ich tak dobrze jak ja. Nie łatwo zatem wyprowadzić mnie w pole. Raz w życiu sparzyłem się na gorącym i mam dosyć...

Na odległość całej mili rozpoznam niebieskiego ptaszka. A w ogóle kieruję się zasadą: nie grać z obcymi ludźmi. Gdyby mnie nawet ktoś chciał ozłocić, nie dałbym się namówić do gry w liczniejszym towarzystwie podczas podróży.

Co innego we dwójkę zagrać w sześćdziesiąt sześć! Z przyjemnością! Cóż to za ryzyko? A w dodatku, gdy gram moją własną talią kart, czegoż mam się obawiać? Zawsze mam przy sobie talię kart. Jak Żyd, nie przymierzając, nie rozstaje się z tałesem¹³, tak ja stale przy sobie noszę talię kart...

Przyznaję ze skrucą: lubię pograć w sześćdziesiąt sześć. Sześćdziesiąt sześć – to żydowska gra. Nie wiem, jak wy. Co do mnie, grywam starą metodą z dwudziestoma i czterdziesto-

¹³ Tałes – płaszcz-szal w pasy czarno-białe, wkładany przez pobożnych Żydów w czasie modlitwy.

ma. Dziewiątka zostaje. A gdy zabieram lewą, mogę kryć, gdy nie mam – nie kryję. Przyzwyczajcie? Co? Tak grają wszyscy Żydzi...

Czasami, gdy w wagonie zasiadę do gry, to noc i dzień upłyną niepostrzeżenie, a ja nie mogę się oderwać od kart. Nie znoszę tylko, jak mi kto stanie za plecami i zagląda albo też radzi głośno, z czym mam wyjść, kiedy mam kryć i tak dalej...

A trzeba powiedzieć, iż nasi Żydzi – niech im Bóg da zdrowie! – mają sporo wad. Trudno we dwójkę grać w sześćdziesiąt sześć w asyście Żydów. Zaraz cię otoczą, zaglądają do kart, każdy radzi co innego, każdy doskonale zna się na grze... Nie można się od nich opędzić, jak latem od natrętnych much!

Choćbyś ich odganiał sto razy, choćbyś im wymyślał: „Wuju, kto was o radę pyta? – Panie, kto was zamawiał? – Czego mi sterczycie nad głową? – Przyjacielu, pachnie od was czosnkiem!” Nic nie pomoże! Rzucaj grochem o ścianę...

Z powodu jednego z takich doradców dostałem kiedyś nauczkę. Na szczęście, wyszedłem cało z tej opresji. Muszę wam to opowiedzieć.

Było to zimową porą w wagonie napchany ludźmi jak śledziami. Ciepło niczym w łaźni. Miejsc mało, a Żydów – bez uroku – sporo. Jak tych gwiazd na niebie. Głowa przy głowie. Nie ma gdzie szpilki wetknąć...

A tu mi Bóg nagle zesłał partnera do sześćdziesięciu sześciu. Był to prosty Żyd, milczący, lecz taki sam amator tej gry jak i ja. Szukamy miejsca, gdzie by można rozłożyć karty. Nie ma. Co począć?

Akurat na ławce naprzeciw nas wyciągnął się jak długi pop w futrzanym płaszczu, twarzą przylgnął do ławki i śpi. Chrapie w najlepsze. Spojrzałem porozumiewawczo na mego partnera, a on zerknął na mnie. Jakbyśmy się umówili! Pop był wysoki, tłusty, futro gładkie, równe – sam Bóg kazał na nim zagrać w sześćdziesiąt sześć. Nie namyślając się długo, rozłożyliśmy karty na tej części ciała, o której się zwykle nie mówi. Zaczynamy partyjkę.

Pamiętam jak dziś – trzymałem w ręce karty zesłane mi chyba przez Boga: prawdziwe czterdzieści, gotowe trzy oczka. Czekam teraz, z czym też wyjdzie mój partner? ”Gdyby rzucił trefle – pomyślałem sobie – jakże mądrze by postąpił. Dopieroż bym go pokochał!” I tak się stało. Mój partner długo się namyślał (mój Boże, co on tu jeszcze może wymyślić?) i rzucił naturalnie dziesiątkę trefl. Warto by go za to wycalować!

Ale mam zwyczaj, że podczas gry nie gorączkuję się jak inni. Wprost przeciwnie. Rzucam kartę po namyśle, spokojnie, bez pośpiechu. Lubię się niekiedy naigrawać z partnera. Pocięram czoło, wykrzywiam twarz. Co mi to szkodzi? Niech mój partner nie traci nadziei. Niech nawet pomyśli, że przegrywam...

I bądź tu prorokiem, że za moimi plecami stoi Żyd – bodajby stał na szpilkach! – i zagląda w moje karty – niechaj mu oczy na wierzch wypłyną! Ujrzawszy dziesiątkę trefl, wyrwał mi z ręki asa, z całej siły uderzył dłonią w karty rozłożone na siedzeniu popa i krzyknął tubalnym głosem:

– Kryję!!!...

Nie tak łatwo udało mi się wyrwać z rąk popa. Wymyślił i przekleństwa, jakimi mnie obrzucił, niechaj spadną na jego głowę! Groził nam, że na pierwszej stacji wysiadzie i nada depeszę do Puryszkiewicza...

Ale to wszystko jeszcze bagatela. Chciałem wam tylko dać do zrozumienia, ile człowiek wycierpi podczas podróży, gdy jest wielbicielem gry w sześćdziesiąt sześć. Właściwa historia dopiero się zaczyna. Posłuchajcie.

Działo się to w wagonie, akurat o tej samej porze roku, podczas święta Chanuka¹⁴. Jechałem do Odessy i wiozłem ze sobą okrągłą sumkę – obyśmy obaj tyle zarobili w ciągu miesią-

¹⁴ Chanuka – żydowskie święto religijne i narodowe na pamiątkę powstania Machabeuszów i wyswobodzenia Żydów od prześladowań królów syryjskich.

ca! Mam zasadę: gdy jestem w posiadaniu większej sumy pieniężnej, staram się nie zasnąć. Nie obawiam się wprawdzie złodzieja, gdyż pieniądze mam schowane pod koszulą w specjalnym mocno związanym woreczku. Ale wie pan – dzisiejsze czasy, chuligani, ekspropriacje...

Siedzę więc tak sobie – sam jeden. Właściwie nie sam, bo byli jeszcze w wagonie pasażerowie, ale wśród nich ani jednego Żyda. Nie ma z kim zagrać w sześćdziesiąt sześć.

I gdy tak siedzę wypatrując Żyda, otwierają się nagle drzwi wagonu – a było to kilka stacji przed Odessą – i wchodzi dwaj pasażerowie, synowie Izraela. Albowiem Żyda poznaję od pierwszego wejrzenia, choćby był ubrany jak prawdziwy Rosjanin i mówił tylko po rosyjsku lub nawet po turecku.

Jeden z pasażerów był stary, drugi młody. Obydwaj mieli na sobie wytworne futra, modne kapelusze – eleganci od stóp do głów. Umieścili walizy na półce, zdjęli futra i kapelusze, zapalili papierosy, mnie również poczęstowali – i zaczęliśmy rozmawiać. Z początku po rosyjsku, potem po żydowsku.

– Skąd pan pochodzi? Dokąd pan jedzie?

– Do Odessy.

– Do Odessy? Ja również do Odessy.

– A więc jedziemy razem do Odessy.

Od słowa do słowa – rozgadaliśmy się na dobre.

– Wiecie, jakie dziś mamy święto?

– A mianowicie?

– Zapomniał pan? Chanuka...

– Co, Chanuka? Doskonała sposobność do zagrania partyjki sześćdziesiąt sześć!

– Brawo! – zrywa się z miejsca młody człowiek i wyciąga z kieszeni starego talię kart. – Papo! Na cześć Chanuki zagramy w sześćdziesiąt sześć! Dobrze?

Okazuje się więc, że to ojciec i syn. Rzecz interesująca, jak też syn gra z ojcem w sześćdziesiąt sześć... Ale nie należy ulegać pokusie, lepiej raczej przyglądać się grającym.

Odwrócili walizę do góry dnem, ustawili ją między nogami i rozkładają karty. Oczywiście, ojcu przysługuje pierwszeństwo. Zaczynają grać w sześćdziesiąt sześć. Siedzę z boku i zaglądam staremu do kart. Ten pyta mnie mimochodem, czy umiem grać w sześćdziesiąt sześć. A ja siedzę, przyglądam się i jestem niewzruszony jak skała. Stary niedołęga gra tak, że aż człowieka mdli. Proszę sobie tylko wyobrazić: ma w ręku dwa atuty i dziewiątkę, dwa mocne piki i jeden trefl. Wyjdźże, niedorajdo, z treflem, dokupisz jeszcze atut do czterdziestu i kto wie, może będziesz mógł kryć? Nie! On woli wyjść z młodszym pikiem – i pozostaje jak bałwan z gołą dyską pik! Rzecz jasna, syn zabiera lewą, wychodzi raz z asem, potem drugi raz – jak Bóg przykazał – zabiera mu dziewiątkę pik, kryje na dwadzieścia i bądź zdrów, holenderski śledziu! Trzy oczka jak te byki! A to ci gra...

Za drugim razem było jeszcze gorzej. Po prostu skandal! Proszę tylko posłuchać: Żyd ma już sześć oczek, brak mu tylko jednego. A partner, czyli syn, ma dopiero dwa. Stary osioł trzyma w ręku trzy atuty i dwadzieścia. Zrywa się, kryje, nie odwołując asa. Woli powiedzieć: dwadzieścia. Tymczasem partner, czyli syn, ściąga mu dwadzieścia atutem i jeszcze jedna kartę, sam mówi: dwadzieścia – i już ma za jednym zamachem trzy oczka! Aż mnie pode-rwało z miejsca! Nie mogę na to patrzeć!

– Proszę wybaczyć – mówię do starego idioty. – Z zasady nie wtrącam się, gdy inni grają. Ale chciałbym wiedzieć, z jakiej racji pan kryłeś? Czegoś się spodziewał? Jeśli pański partner ma złe karty, to nie ma obaw. A jeśli ma nawet złote karty, to co może być w najgorszym wypadku? Co pan ryzykuje? Jedno oczko mając sześć, gdy tamten ma tylko dwa.

Stary nic mi nie odrzekł, natomiast synalek uśmiechnął się.

– Papa gra bardzo słabiotko. Papa nie umie grać w sześćdziesiąt sześć...

– Pański papa – mówię – nie powinien w ogóle grać w sześćdziesiąt sześć. Ja go zastąpię!

Aliści papa nie chce ustąpić za nic w świecie i gra dalej w taki sposób, że można dostać apopleksji. Ledwo mi się udało uprosić starego idiotę, by mi pozwolił zagrać dwie, trzy partie.

– Z okazji święta Chanuka chciałbym i ja zadośćuczynić tradycji...

– O co gramy? – pyta mój sąsiad.

– Jak pan sobie życzy. Możemy grać po rublu.

– Proszę bardzo.

– Ale zastrzegam się, że ojciec pański nie ma prawa zaglądać do kart ani udzielać porad...

W wagonie powstał śmiech, a my zasiedliśmy do gry. Jedna partia, druga, trzecia – idzie mi, bez uroku, jak z płotka. Mój partner jał się gorączkować. Chce stawkę podwoić.

– Podwoić? Proszę bardzo. Chce pan może postawić czterokrotnie? Nie mam nic przeciw temu.

Znów przegrał. Wtedy ogarnęła go złość. Zaproponował mi grę w oko.

Na tę propozycję zerwał się z miejsca stary cadyk – ojciec: za żadne skarby nie dopuści do takiej gry, i basta!

Mój partner niewiele go słuchał. Zegraliśmy więc w oko. Przegrał. Ta przegrana wydała się staremu podejrzana. Wstał, zaglądnął do moich kart, usiadł z powrotem, zanucił coś pod nosem...

A mój partner siedzi jak na rozżarzonych węglach. Im więcej przegrywa, tym bardziej pali się do gry. Im bardziej pali się, tym więcej przegrywa. Stary indor mało co ze skóry nie wyskoczy: gniewa się, przeklina, zagłada mi do kart, chrząka i wciąż nuci jakąś melodię. A synalek, goguś, pali się jak słomiany dach!

– Niech mnie szlag trafi – woła ojciec – jeśli ci pozwolę dalej grać!

– Pozwól, papo, ostatnia partia – prosi go synalek. – Niech mnie Bóg skarzę, jeśli to nie ostatni raz!

– Ostatni raz – mityguję starego. – I cóż wam szkodzi?

Rozdano karty – mój partner wygrał. Sam nawet ucieszyłem się, że wygrał. Ale zachciało mu się jeszcze jednej puli. Ostatecznie nie można odmówić, skoro partner zgrał się do nitki. Po tej puli poszła druga, trzecia i czwarta... Proszę sobie wyobrazić: karta jakby się odwróciła.

– No – pytam starego łotra. – Dlaczego teraz nie sarka pan na syna?

– Nauczę go już w domu, tak że mnie popamięta!

Tymi słowy odpowiedział mi stary złodziej, po czym zajrzał w moje karty, zanucił coś, zakaszlał i pociągnął nosem. Od pierwszej chwili nie podobało mi się to zaglądnienie do kart, nucenie i pociąganie nosem. Ale dopóki mi karta szła, dopóty myślałem sobie: „Zaglądnij, śpiewaj, pociągaj nosem...”

Teraz dopiero, gdy szczęście odwróciło się ode mnie, zacząłem rozważać, czy to zaglądnienie do kart i nucenie pod nosem nie jest znakiem porozumiewawczym? Tymczasem znów rozdawano karty – partia za partią. Źle – wciąż przegrywam! Co kilka minut odchodzę w kąk wagonu, rozpinam tylną kieszeń, wyciągam setkę za setką. W kieszeni coraz luźniej, dnieje...

Nagle stary bandyta ujął mnie mocno za rękę.

– Bodajbym tak żył, że nie pozwolę wam dalej grać! Przecież wyciągacie ostatnią setkę!

Poczułem się dotknięty.

– Skąd wiecie, że to ostatnia?! – i podchodząc do ławki, kładę setkę na karty.

Dopiero wówczas gdy zgrałem się do nitki, ocknąłem się nagle i zrozumiałem, że jestem goły jak nowonarodzone dziecko. Nie było już co stawiać... Mój partner zapinał ostatni guzik marynarki, jego policzki rumieniły się z zadowolenia. Obejrzałem się dookoła. Gdzie jestem i co ze mną zaszło? Serce mówiło mi, że wpadłem w pułapkę, że zastawiono na mnie sieci...

Zwolna jałem się domyślać, że ojciec nie jest ojcem ani syn synem. Nie podobały mi się ich spojrzenia, gdy syn oddalił się w kąk wagonu, a ojciec poszedł za nim. Zdawało mi się, że stary zapytał o coś młodego, i przysięgłbym, że młody wsunął mu coś do ręki. W głowie mej

błysnęła rozpaczliwa myśl: „Może wyskoczyć oknem...” Po chwili szepnąłem sam do siebie: „Nie! Raczej już rzucić się na nich z nożem lub rewolwerem... Albo po prostu – zająć ich z tyłu, chwycić za gardło i dusić, dusić!” Ale cóż poradzisz, gdy jesteś sam, ich zaś – dwóch?

A pociąg pędził, koła stukotały o szyny. W głowie zamęt, serce spala żar... Co będzie? Za kilka minut znajdziemy się w Odessie. Co pocznę? Dokąd pójdę? Co powiem na swoje usprawiedliwienie?...

Patrzę – a moi towarzysze zabierają już walizki.

– Gdzie jesteście?

– W mieście – odpowiadają – które nazywa się Odessa.

Wsuwam rękę do kieszeni. Nie mam nawet czym opłacić tragarza. Zimny pot wystąpił mi na czoło. Łzy zakręciły mi się w oczach. Ręce się trzęsą.

Podchodzę do starego zbója.

– Mam do was prośbę... Choćby dwadzieścia kopiejek...

– O co chodzi? – pyta stary łotr. – Zwróćcie się do niego.

Młody oszust spokojnie podkręca wąsa i udaje, że nic nie słyszy.

Stop – jesteśmy w Odessie. Wyskoczyłem pierwszy z wagonu. Wszcząłem alarm, dałem się z całych sił: „Policja! Policja!”

Po chwili wyrósł przede mną żandarm – za nim drugi i jeszcze dwóch. Tymczasem mój młodzieniaszek ulotnił się. Pozostał tylko stary oszust, którego trzymałem mocno za rękę. Na dworcu powstało zbiegowisko, niczym w czasie trzęsienia ziemi...

Zaprowadzono nas do oddzielnego pokoju. Opowiedziałem tam całą historię od a do zet. Naturalnie, że dałem upust zboląlemu sercu i nie obeszło się bez łez.

Moja relacja wzruszyła widocznie żandarmów, bo wzięli się energicznie do badania starego magika: niechaj im powie całą prawdę! I cóż się okazało? Nie wiedział o niczym. Jakie karty? Co za sześćdziesiąt sześć? Czyj syn? Nie ma żadnego syna.

– Ten człowiek nie jest przy zdrowych zmysłach – rzekł wskazując na mnie.

– Aha! – krzyknąłem. – Szukajcie, czy nie ma przy sobie pieniędzy.

Rozebrali go, z przeproszeniem, do naga. I cóż? Ani kart, ani pieniędzy. Miał przy sobie kilka kopiejek, a wyglądał na takie niewiniątko, że chwilami zaczynałem powątpiewać, czy rzeczywiście nie brak mi piątej klepki. Może mi się to wszystko przyśniło? Może uroiłem sobie, że ten Żyd był ojcem, a tamten synem, że grałem w sześćdziesiąt sześć i że przegrałem majątek?

Jaki był koniec tej historii? Lepiej nie pytać... Zapomnijmy o tym i z okazji święta Chanuka utnijmy sobie partyjkę.

Po tej propozycji zamilkł mój sąsiad, człowiek o wcale przyzwoitym wyglądzie – komiwojażer jak ja, a może nawet kupiec. W rękach wyrosła mu talia kart, począł ją zręcznie tasoować.

– Jak gramy?

Spojrzałem uważniej na osobnika, który zbyt szybko, zręcznie i z niebywałą wprawą rzucał karty. Spojrzałem na jego ręce. Zbyt białe i za miękkie. Powziąłem brzydkie podejrzenie.

– Z przyjemnością zagrałbym z panem z okazji święta w sześćdziesiąt sześć. Ale nie wiem niestety, jak się to robi? Co to właściwie znaczy: sześćdziesiąt sześć?...

Mój sąsiad zajrzał mi głęboko w oczy z ledwie widocznym uśmiechem. Potem, westchnąwszy głęboko, wpuścił karty z powrotem do kieszeni.

Na najbliższej stacji ulotnił się. Obszedłem dwa razy wszystkie wagony, żeby się przekonać, czy go tam nie ma. Znikł i nie zostawił po sobie nawet śladu...

GIMNAZJUM

Najgorszy wróg nie wyrządził wam w życiu tyle złego, ile człowiek może uczynić sam sobie. A najczęściej wtedy, gdy słucha rad kobiety, to jest własnej żony. Kogo mam tu na myśli? Siebie samego. Spójrzcie tylko na mnie – cóż powiecie? Ot, taki sobie Żyd, średniozamożny. Z nosa mego nie wyczytacie, ile mam pieniędzy. Może jestem biedakiem – albo też wprost przeciwnie. Może być, że kiedyś byłem bogaty... Ale nie chodzi mi o pieniądze. Pieniądze to, z przeproszeniem, błoto! Miałem swój zarobek – cichy, przyzwoity. Nie uganiałem się za groszem, nie zamartwiałem się, jak to robią inni, gotowi wszystko pożreć oczyma. Nie! Zawsze twierdziłem, że najlepiej postępować cicho i bez pośpiechu. Cicho więc i bez pośpiechu prowadziłem sobie handelek, cicho i bez pośpiechu kilkakrotnie zawieszałem wypłaty, cicho i bez pośpiechu pozbywałem się towaru i zaczynałem na nowo.

Aleć jest przecież Bóg na niebie, który raczył obdarzyć mnie żoną! Nie ma jej tu, możemy zatem rozmawiać swobodnie. Żona jak to żona. Wygląd ma wcale niczego. Owszem – osoba, bez uroku, dwakroć wyższa ode mnie. Nie można powiedzieć, że głupia. Nawet mądra, rzecz można, bardzo mądra – mądra niby mężczyzna. I w tym cały sęk! Zapewniam was: źle jest, gdy kobieta chce rządzić mężczyzną.

Niech sobie będzie najmądrzejsza, a jednak Wiekuisty stworzył przedtem Adama, a dopiero później Ewę. Ale jak to wytłumaczyć mojej żonie, która twierdzi:

– Co z tego, że Bóg stworzył najpierw was, a potem nas? To Jego sprawa. Rzecz najważniejsza, że ja posiadam więcej rozumu w pięcie niż ty w swojej łepetynie – i nie moja w tym wina.

– Co ci znów strzeliło do głowy? – pytam.

– To mi strzeliło, że o wszystko mnie tylko musi głowa boleć. Muszę się nawet troszczyć o to, żeby dziecko oddać do gimnazjum.

– Gdzie to jest takie przykazanie: „gimnazjum”? Dla mnie wystarczy, gdy się chłopak wszystkich tych mądrości nauczy w domu.

– Mówiłam ci już tysiąc razy – odpowiada mi na to żona – że nie zmusisz mnie, abym postępowała inaczej niż cały świat. A cały świat uważa, że dzieci należy posyłać do gimnazjum.

– Wobec tego jestem zdania, że cały świat oszalał!

– Tylko ty jeden – zawołała – pozostałeś przy zdrowych zmysłach! Ładnie by świat wyglądał, gdyby się wzorował na tobie...

– Każdy człowiek – mówię – polega na własnym rozumie.

– Niechaj moi wrogowie – zachichotała – posiadają tyle w swych kabzach, szkatułach i szafach, ile ty w swojej głowie, a będą się mieli z pyszna!

Odrzekłem:

– Godzien politowania mężczyzna, o którym wydaje sąd kobieta.

A na to ona:

– Godna litości kobieta, która musi myśleć za swego męża...

No, i wdawajcie się w spór z taką babą! Gadaj do lampy! Powiesz jej słówko, a zasypie cię całym tuzinem. Jeśli zaś będziesz milczał, to zaczniesz płakać albo zemdleje – a wtedy już zrobi z tobą, co się jej żywnie podoba. – Koniec końców, tędy – owędy, postawiła na swoim. Albowiem gdy ona chce czegoś, to już nic nie pomoże.

Co tu dużo gadać! Gimnazjum... Oznacza to, że trzeba chłopaka przygotować, przyswoić mu wiadomości z klasy podwstępnej. Też mi wielka wiedza – klasa podwstępna! Zdawałoby się, że byle jaki uczeń z chederu zapędzi ich wszystkich w kozi róg. A szczególnie taki jak mój. Całe cesarstwo można objechać, a nie znajdziecie podobnie zdolnego dziecka. Nie mówię tak dlatego, że jestem jego ojcem. Ale możecie mi wierzyć – nadzwyczajna głowa!

Krótko mówiąc: stanął do egzaminu i... nie zdał. Co się stało? Dostał dwóję z rachunków. Słaby jest – orzekli – w matematyce. Jak to się wam podoba? Ten ma głowę, jakiej na świecie szukać – a oni twierdzą, że słabo rachuje, i bzdurzą coś o matematyce.

Słowem, nie zdał. Zmartwiło mnie to nie na żarty. Skoro już zdawał, to niechby przynajmniej zdał! Ale żem mężczyzna, a nie babą, więc się rychło uspokoiłem. Żyd przywykł do takich rzeczy... Lecz gadaj tu z moją żoną, skoro wbiła sobie ćwieka w głowę. Wciąż tylko powtarza: „gim-na-zjum”! Perswaduję jej:

– Powiedz mi, żebyś tak zdrowa była, po co mu to gimnazjum? Jeśli ci chodzi o służbę wojskową, to przecież nic mu nie grozi, bo jest jedynakiem. A zarabiać będzie mógł i bez tego... Czy przyniesie to nam ujmę, jeśli zostanie takim kramarzem jak ja lub kupcem jak inni Żydzi? A jeśli mu sądzono zostać bogaczem, wielkim bankierem, to i tak obejdzie się bez tego...

Szkoda słów. Gadaj do ściany!

– Lepiej – powiada – że nie dostał się do podwstępnej.

– Dlaczego? – pytam.

– Bo łatwiej mu będzie zdać od razu do wstępnej.

Wstępna to wstępna! Wielkie mi rzeczy, skoro chłopak ma taką głowę, że szukać w całym cesarstwie... I co się w końcu stało? Znowu to samo. Dostał dwóję, lecz już nie z matematyki. Nowe nieszczęście: nie stawia liter, jak należy. Stawiać to stawia, ale co z tego? Na punkcie jednej litery jest słaby – źle umieszcza literę „jat”. To znaczy, on stawia tę „jat”, dlaczegożby nie? Ale nie stawia jej tam, gdzie trzeba. Zresztą, cóż mi do tego? Czy nie trafię na jarmark do Połtawy lub Łodzi, jeśli nie postawię litery „jat” na właściwym miejscu?...

Słowem, skoro usłyszeliśmy tę dobrą nowinę, żona moja poruszyła niebo i piekło. Pobiegła do dyrektora, jęła go zapewniać, że chłopiec umie – niech go przesłuchają raz jeszcze. Ale nic nie wskórała. Dostał dwóję, potem jeszcze jedną, nawet z minusem – i przepadło. Gwałt, krzyk! Jak to, znowu nie zdał?!

Mówię do niej:

– Co na to poradzisz? Czy warto z tego powodu odbierać sobie życie? Żyd przywykł do takich rzeczy...

To ją dopiero rozsierdziło. Poczęła się drzeć i kłać, na czym świat stoi. Ale mniejsza z tym! Serce mi się krajało, gdy patrzyłem na chłopca... Pomyślcie tylko – taki pech! Inni chłopcy będą mieli mundurki ze srebrnymi guzikami, a on nie. Tłumaczę mu na rozum:

– Głupcze jeden, tępa głowo! Gdzież to wyczytałeś, że wszyscy muszą chodzić do gimnazjum? Ktoś musi przecież pozostać w domu. Gdyby ci przynajmniej zależało na zwolnieniu od służby wojskowej...

To ją jeszcze bardziej rozgniewało.

– Ładny z ciebie ojciec! Kto cię prosił o to, żebyś go pocieszał taką głupią paplaniną?! Postaraj się raczej o lepszego nauczyciela, o prawdziwego Rosjanina do gramatyki...

Czy słyszał kto coś podobnego? Mam opłacać aż dwóch nauczycieli. Jeden nauczyciel – to dla niego za mało! Koniec końców: tędy – owędy, postawiła na swoim. Albowiem nie łudźmy się, gdy ona chce czegoś, to nie ma na to rady...

Jednym słowem, przyjęliśmy drugiego nauczyciela – Rosjanina, a nie jakiegoś tam Żyda...

Wzięliśmy Rosjanina z krwi i kości, albowiem to nie fraszka – kurs gramatyki do pierwszej klasy. Nie takie to łatwe, oho! Gra – ma – ty – ka! Litera „jat”. Prawdę mówiąc, dostaliśmy nauczyciela, że aż wstyd wspominać. Dał on się nam we znaki! Mieszał nas z błotem, szydził i kpił z nas w żywe oczy. Gdy uczył tej gramatyki, wciąż słyhać było tylko „sukin-syn” i „czosnek”. Czosnek, czosnku, czosnkowi,, czosnkiem, w czosnku. Niech go diabli porwą! Gdyby nie żona, chwyciłbym go po prostu za kołnierz i dalej ze wszystkich schodów na zbity łeb wraz z całą jego przeklętą gramatyką! Ale jej to bynajmniej nie raziło. Zależało jej

tylko na tym, aby chłopak wiedział, gdzie postawić literę „jat”. Męczono go tak przez całą zimę, gdyż dopiero po Zielonych Świątach miał iść na rzeź...

Minęły Zielone Świąta. Nadszedł dzień egzaminu. Tym razem wrócił do domu bez dwójek, a tylko z czwórką i piątką. Radość i wesele – choć nie wiadomo z całą pewnością, czy zostanie przyjęty. O tym dowiemy się dopiero w sierpniu. Dlaczego w sierpniu, a nie od razu? Cóż poczniesz? Żyd przywykł do takich rzeczy...

Nadszedł sierpień. Żona moja uwija się bez przerwy: od dyrektora do inspektora.

– Po co się tak uganiaś od jednego do drugiego – pytam – jak wystraszona mysz?

– Jak to? – odpowiada mi pytaniem. – Po co tak biegam? Nie wiesz, co się dzieje dziś w gimnazjach z powodu procentów?

Koniec końców, znowu nie został przyjęty. Dlaczego? Bo nie ma dwóch piątek. Gdyby miał dwie piątki, może by się dostał. Jak się wam podoba takie „gdyby”? Żal mi tylko było dziecka. Biedak leżał cały dzień z głową ukrytą w poduszkach i płakał... Zawodził tak długo, póki nie przyjęto mu studenta, który go miał przygotować do drugiej klasy gimnazjum. Ale druga klasa to nie przelewki: trzeba tam, oprócz matematyki i gramatyki, znać jeszcze geografie, kaligrafię i Bóg wie co... Choć, między nami mówiąc, to wszystko razem wzięwszy nie warte trzech groszy. Jeden werset Talmudu jest o wiele trudniejszy od całej ich mądrości – i niewątpliwie mądrzejszy. Ale co z tego? Żyd przywykł do takich rzeczy...

Krótko mówiąc, zaczęła się seria lekcji. Wstawał nad ranem – lekcje, pomodlił się, zjadł śniadanie – lekcje, cały boży dzień – lekcje! Do późnej nocy bębniło mi w uszach: „Mianownik, dopełniacz, celownik...” Aż się na mdłości zbierało! Kto by tam myślał o jedzeniu, o spaniu?

– Wzięliście niewinne stworzenie – powiadam – i zamęczacie je na śmierć. Gotów jeszcze, broń Boże, przyplacić to chorobą.

– Bodaj ci język usechł! – przerywa mi żona.

Minęło kilka miesięcy – i poszedł znów na rzeź. Tym razem przyniósł murowane piątki. Nic dziwnego. Ma przecież głowę, choćbyś cały świat objechał... A w dodatku, ile się uczył, ile gorączkował? Zdawałoby się, wszystko w porządku. Może nie?

I oto wywieszono w gimnazjum listę przyjętych dzieci. Patrzą: mojego nie ma! Krzyk, gwałt. Co to znaczy?! Przecież ma same piątki! Moja połowica wpadła w istny szał: pójdzie, poleci, podniesie alarm, pokaże im, takim i owakim!...

Niewiele mówiąc poszła, poleciała, pokazała takim i owakim – aż ją poproszono, aby nie zawracała im głowy. To znaczy, mówiąc między nami, wyrzucono ją po prostu za drzwi.

Wpadła do domu oburzona, do głębi przejęta.

– Jak to – mówi – taki z ciebie ojciec?! Gdybyś był jak inni kochający ojcowie, dawno już znalazłbyś drogę do dyrektora... Jakaś protekcję, znajomość, to czy owo.

Jak się wam podoba taka kobieta? Nie dość, że mam na głowie kłopoty i troski, weksle i interesy, jarmarki i terminy, spłaty, protesty i inne zmartwienia? Chciałaby jeszcze, żebym został pośrednikiem w jej gimnazjum i w jej klasach, których mam już po same uszy!

Myślicie może, że mnie usłuchała? Jak groch o ścianę! Ona wciąż swoje: nie sypia, nie je, martwi się dzień i noc.

– Dziecko – powiada – jak dziecko... Ale gdybyś choć dla mnie miał odrobinę szacunku!

– Co byłoby wtedy?

– Jak to co? Od dawna leżałbyś w ziemi, a ja grzebałabym cię trzy razy dziennie, żebyś już nie mógł powstać...

Miłe błogosławieństwo, nie ma co mówić! Takie życzenia słała pod moim adresem – ot tak, mimochodem. Rozumie się, że nie pozostawałem jej dłużny, bo – jak to powiadają – nie ma człowieka bez zółci. Skończyło się na tym, że znowu ona postawiła na swoim. Bo gdy ona czegoś zechce, to nie pomogą żadne argumenty...

Co tu dużo gadać? Zacząłem szukać znajomości, protekcji. Niemało przy tym najadłem się wstydu, znosiłem prawdziwe katusze. Bowiem każdy pytał mnie o to samo: jesteś, reb Aronie, poważnym człowiekiem. Jakie лихо każe ci się pchać tam, gdzie ciebie nie szukają? Bądź łaskaw, opowiedz im wszystko od początku, że masz żonę, która uroiła sobie – gimnazjum, gimnazjum i gimnazjum!

Nie należę do szczęśliwców, a jednak z boską pomocą dostałem się po uciążliwej drodze wprost tam, gdzie trzeba – to znaczy do gabinetu samego dyrektora. Tak jest. Siedziałem z nim na osobności i powiadam mu, że tak i tak... Umie mówić z wielkimi panami, nie trzeba mnie ciągnąć za język.

– Czego sobie życzycie? – spytał i prosi, żebym usiadł.

Mówię mu tedy cicho, na ucho:

– Jaśnie wielmożny panie! My nie bogacze, ale mamy maleńki mająteczek i jedyne, niezwykle zdolnego chłopca, który chce się uczyć. No i ja chcę, lecz moja żona, ona b a r d z o chce!...

A on do mnie po raz drugi:

– Czego sobie życzycie?

Więc powtarzam mu na ucho i przysuwam się coraz bliżej:

– Panie łaskawy – mówię. – My nie bogacze, ale mamy maleńki mająteczek i jedyne, niezwykle zdolnego chłopca, który chce się uczyć. No i ja chcę, lecz moja żona, ona b a r d z o chce!...

I rozciągam słowo „bardzo”, żeby mnie lepiej zrozumiał.

Ale taki zakuty łeb niewiele pojąć może. Więc dyrektor odzywa się do mnie już ze złością:

– Czego sobie życzycie?!

Wtedy powoli sięgam ręką do kieszeni, powoli z niej coś wyjmuję i cedzę słowo za słowem:

– Przepraszam najmocniej! My nie bogacze, ale mamy maleńki mająteczek i jedyne, niezwykle zdolnego chłopca, który chce się uczyć. No i ja chcę, ale moja żona, ona b a r d z o chce!

I wsuwam mu coś do ręki...

Natychmiast mnie zrozumiał. Podeszedł do szafy, wyciąga księgę i pyta mnie, jak się nazywam, jak na imię memu synowi i do której klasy ma być przyjęty. Myślę sobie: „Doskonale! Od tego należało zacząć.” I objaśniam mu, że nazywam się Kac, Aron Kac, a synowi mojemu na imię Mojsze, to znaczy Moszke. A chciałbym, żeby go przyjęto do trzeciej klasy.

A on do mnie:

– Skoro pan się nazywa Kac, a pański syn Mojżesz, czyli Moszek, chce wstąpić do trzeciej klasy, to przyprowadź pan syna w styczniu, a wtedy z pewnością zostanie przyjęty...

Zrozumiano? Już gada inaczej! Wiadomo: kto nie posmaruje, ten nie pojedzie. Szkoda tylko, że nie można od razu pojechać. Ale co począć? Trzeba czekać. Żyd przywykł do takich rzeczy...

Nadszedł styczeń. Znów rejwach, bieganina tam i z powrotem. Jutro ma się odbyć sesja, czyli narada. Dyrektor spotka się z inspektorem i wszystkimi nauczycielami. Dopiero po tej sesji będzie wiadomo, czy został przyjęty.

Przychodzę po pracy, w domu pustka. Ani łyżki ciepłej strawy, ani samowaru, nic! Gdzie żona? W gimnazjum. Ściśle biorąc, nie w samym gimnazjum, tylko przed gimnazjum. Kręci się po ulicy, na mrozie, już od samego rana i czeka, aż sesja się skończy. Mróz szczypie, na dworze zawierucha, szkoda psa wypuścić z domu – a ona wciąż sterczy przed gimnazjum. Kobieta zawsze jest kobietą. Skoro mi przyrzeczone, to chyba można spać spokojnie? Lecz gadaj z niewiastą!

Słowem: czekała godzinę, dwie, trzy, cztery... Wszyscy uczniowie poszli już do domu, a ona wciąż czeka. No i w końcu doczekała się... Otwierają się drzwi i wychodzi jeden z na-

uczycieli. Ona podbiega, chwyta go za rękę i pyta, czy nie wie, jaki był wynik sesji. A on do niej:

– Owszem, wiem. Przyjęto dwudziestu pięciu, w tym dwudziestu trzech chrześcijan i dwóch Żydów.

Pyta więc, kogo przyjęto? A on na to:

– Jakiegoś Szepselzona i jakiegoś Kaca. Usłyszawszy to nazwisko żona moja biegnie co tchu do domu i woła stanąwszy na progu:

– Mazel tow¹⁵! O, dzięki ci, Boże! Przyjęty, przyjęty!

I oczy jej napęlniają się łzami.

Ja również byłem uradowany, ale nie będę przecież tańczył. Koniec końców jestem mężczyzną, a nie babą.

– Jak widzę – mówi do mnie połowica – niewiele cię to obchodzi.

– Skąd masz tę pewność? – pytam.

– Bo jesteś – powiada – człowiekiem bez serca. Gdybyś wiedział, jak biedne dziecko drży, dawno byś już pobiegł i zamówił dla niego mundurek, czapkę i tornister. A potem urządziłbyś ucztę dla naszych przyjaciół.

– Dlaczego – pytam – ni stąd ni zowąd mam urządzać ucztę? Czy to jego konfirmacja?

Ja do niej mówię całkiem spokojnie, boć jestem mężczyzną, a nie babą. A ona rozgniewała się na mnie i jęła zasypywać mnie słowami. A gdy kobieta rozpuści język, to gorzej, niżby przeklinała. Oczywiście, ona postawiła na swoim, a nie ja. Albowiem gdy ona chce czegoś, to perswazja na nic się nie przyda.

Urządziliśmy więc ucztę, zaprosiliśmy przyjaciół. Chłopak paradował w nowym mundurku ze srebrnymi guzikami, w nowej czapce – rzekłbyś, gubernator! Słusznie mu się to należało. Wstąpiła weń nowa dusza. Promieniał jak słońce w lipcu.

Pito jego zdrowie i życzo nam, aby się pilnie uczył w gimnazjum, a potem wstąpił na uniwersytet.

– Wcale tego nie pragnę – rzekłem. – Wystarczy, jeżeli skończy osiem klas gimnazjum. A potem, z boską pomocą, ożenimy go...

Na to moja żona wpija we mnie wzrok i cedzi z uśmiechem:

– Powiedzcie mu, że się grubo myli. Ten człowiek ma wciąż jeszcze staroświeckie poglądy.

– Powiedzcie jej – mówię – że chciałbym mieć taki dobry rok, jak dobre były stare obyczaje.

– Powiedzcie mu – replikuje na to żona – że jest, z przeproszeniem... Tu rozległ się śmiech.

– Reb Aronie, żonę macie, bez uroku! Kozak, nie kobieta!

Szybko opróżniały się butelki z winem. Goście rozweselili się i zaczęli tańczyć. Bawiono się tak do świtu.

Z samego rana poszliśmy z synem do gimnazjum. Było jeszcze wcześniej i zastaliśmy bramę zamkniętą. Czekaliśmy więc na ulicy, kostniejąc z zimna. Wreszcie otwarto bramę i wpuszczono nas do wnętrza budynku. Wkrótce zaczęli się schodzić uczniowie, wyrostki z tornistrami na plecach. Powstał zgiełk, gwar i krzyk. Bieganina tam i z powrotem – istny jarmark. Urwisy skakały jeden przez drugiego. Ten i ów oberwał szturchańca w bok, inny znów podstawił koledze nogę. Patrząc na te rumiane, roześmiane, wesołe twarzyczki – przypomniałem sobie nasz ciemny, ciasny cheder z dawnych lat.

A więc okazało się, że ona miała słuszość. Niby kobieta, a rozum ma męski...

Gdy tak sobie rozmyślam, podchodzi do nas jakiś pan w mundurze ze złotymi guzikami, zapewne nauczyciel, z arkuszem w rękę. Pyta mnie, czego sobie życzę. Wskazuję na mego

¹⁵ Mazel tow – szczęść Boże.

malca, mówiąc, że przyprowadziłem go właśnie do chederu – to jest, chciałem powiedzieć, do gimnazjum. Zapytuje mnie, do której klasy? Odpowiadam:

– Do trzeciej, niedawno przyjęty.

A on do mnie:

– Jak się pański syn nazywa?

Odpowiadam:

– Kac Moszke.

A tamten mówi:

– Moszek Kac? Takiego nie ma w trzeciej klasie. Jest wprawdzie – powiada – Kac, ale nie Moszek, tylko Mordchaj. Mordchaj Kac!

Ja do niego:

– Jaki Mordchaj? Moszke, a nie Mordchaj.

A on do mnie:

– Mordchaj! – i przysuwa mi arkusz do nosa.

Ja do niego:

– Moszke!

A on do mnie:

– Mordchaj.

Jednym słowem: Moszke czy Mordchaj – Mordchaj czy Moszke, tak długo trwała sprzeczka, aż tamten postawił na swoim. Jak się wam podoba? Dyrektor się omylił... W istocie przyjęto Kaca, ale – to ci pech! – zupełnie innego, nie naszego. Trzeba wam wiedzieć, że dwóch jest Kaców w naszym miasteczku. Cóż wy na to? Ja pościeliłem, a tamten się wyśpi! Szkoda tylko, że nie wiecie, co to za osobistość tamten Kac... Takie sobie nic, rzemieślnik. Jakiś tam introligator czy łaciarz. Podobno nawet spokojny człowiek – ale kto go zna, kto o nim słyszał? To biedak! I jego syn przyjęty, a mój nie. Powiedzcie sami, czy nie może człowieka zalać zółć?!

Nie wyobrażacie sobie, jak mój malec rozpaczał, gdy mu kazano zdjąć to cacko z czapki! Jak to się mówi: „Pan już nie asesor!” Oblubienica przy narzucaniu zasłony tyle łez nie wy-leje, ile mój syn wylał w owym dniu.

Na próżno perswadowałem mojej żonie:

– Widzisz, do czegoś doprowadziła? Czy ci nie mówiłem, że twoje gimnazjum to istna rzeź? Dałby Bóg, żeby to nam uszło na sucho i aby syn nasz tego nie odchorował.

A ona na to:

– Niechaj nasi wrogowie chorują, a moje dziecko musi się dostać do gimnazjum! Nie przyjęto go teraz, to z boską pomocą przyjmą go za rok. Jeśli go nie przyjmą tutaj, to go zawiozę do innego miasta. Musi być w gimnazjum – chyba, że mnie do grobu złożą!

Słyszeliście coś podobnego? I kto postawił na swoim? Ja czy ona? Nie łudźmy się! Gdy ona czegoś zapragnie, to sam diabeł nie pomoże.

Nie będę wam długo opowiadał. Namęczyłem się, przewędrowałem z nim pół świata. Jeździliśmy od miasta do miasta, gdzie tylko było gimnazjum. Wszędzie zdawał egzamin, nawet dobrze – a jednak nigdzie go nie przyjmowano. Dlaczego? Wszystko z powodu tych „procentów”. Wierzcie mi, często sam siebie uważałem za wariata: „Idioto, czego się pchasz? Po co się włóczysz po różnych miastach? Na co ci to potrzebne? A jeśli go nawet przyjmą, to co z tego?”

A jednak mówcie, co chcecie – żądza zwycięstwa to wielka rzecz! Ja sam się już uparłem, a Bóg ulitował się nade mną i zesłał mi w Polsce takie gimnazjum handlowe, gdzie na kilku chrześcijan przyjmują jednego Żyda. Ale co z tego? Każdy Żyd, który chce, aby jego dziecko było przyjęte, musi przyprowadzić swego chrześcijanina i wnieść za niego wpisowe. Wtedy już można żywić pewne nadzieje. Zamiast jednego garbu trzeba dźwigać dwa. Nie dość, że mi

łeb usycha z troski o własne dziecko, muszę jeszcze drzeć o to, aby tamten zdał. Jeśli Ezaw nie zda, to biada Jakubowi!

Mało tego: zanim znalazłem chrześcijanina, jakiegoś szewca (zwał się Cholewa), musiałem się porządnie namęczyć. Tymczasem okazało się, że szewski syn niezbyt dobrze opanował jeden przedmiot: religię! Nie było innej rady. Mój syn musiał zasiąść z nim do nauki. „Skąd – spytacie – mój syn do religii prawosławnej?!” Zbędne pytanie – mój syn wszystko umie, odpowiada, jakby czytał z nut...

Z boską pomocą wybiła szczęśliwa godzina i obaj zdali. Myślicie zapewne, że to już koniec? Gdzież tam! Gdy przyszło do wpisów, mój chrześcijanin nagle się ulotnił. Co się stało? Ojciec jego nie życzy sobie, aby synalek przebywał wśród tyłu Żydów. Powiada:

– Po co mi to, kiedy i tak wszystkie drzwi stoją przed nim otworem i może wstąpić tam, gdzie mu się żywnie podoba...

I jak mu wytłumaczyć, że nie ma racji?

– Czegóż więc – pytam – chcesz, panie Cholewa?

A on na to:

– Nic.

Krótko mówiąc, tędy – owędy, znaleźli się dobrzy ludzie. Szewc dał się udobruchać, zaproszono go do knajpy, trąciliśmy się kieliszkami raz, drugi i trzeci. Wreszcie podpisał podanie, że prosi o przyjęcie syna. O mało mi oczy na wierzch nie wylazły...

Wracam do domu – nowe nieszczęście! Co takiego? Moja żona zaczęła rozważać:

– Jak to? Jedynek, oko w głowie, i on ma być tam, a my tu?

– Jakaż na to rada? – pytam.

A ona:

– Nie domyślasz się? Ja pojedę z nim...

– A co się stanie z naszym domem?

– Dom jak to dom...

No i wybij jej to z głowy! Czy sądzicie, że nie postawiła na swoim? Uparła się i pojechała z synem. Zostałem sam w mieszkaniu. Wiodłem psie życie, interesy szły na opak, wszystko chyliło się ku upadkowi. A myśmy wymieniali liściki – ja piszę do niej, a ona do mnie. Listy tu i tam. „Na miłość boską – piszę do niej – jak to się skończy? Człowiek jest tylko człowiekiem. Czy można dać sobie w domu radę bez gospodyni?” Tyle ją to obeszło co zeszlóroczny śnieg. Zostało tak, jak ona chciała. Albowiem – po co owijać w bawełnę? – skoro ona czegoś chce, to któż na to poradzi?

Opuściłem się, zaniedbałem, zmarnowałem interesy, wyprzedalem wszystko. Prawie że zrujnowany spakowałem manatki i pojechałem do niej. Po przyjeździe jałem się rozglądać i wreszcie utorowałem sobie jakąś dróżkę. Zawarłem spółkę z pewnym kupcem – człowiekiem nawet sympatycznym. O tak, poważny obywatel, gabe¹⁶ w bóżnicy – tylko że krętacz, oszust, kieszonkowiec... Niewiele brakowało, a byłby mnie unieszczęśliwił!

Zapewne domyślacie się, jakie miałem wtedy kłopoty.

Pewnego dnia przychodzę do domu i zastaję tam syna. Jakoś dziwnie czerwony na twarzy i bez gwiazdki na czapce.

– Słuchaj, Mojszele, gdzieś to podział?

A on do mnie:

– Co takiego?

– Gdzie gwiazdka?

– Jaka gwiazdka?

– Na czapce. Dopiero co kupiłem ci na święta nową czapkę.

Zaczerwienił się jeszcze bardziej i powiada.

¹⁶ Gabe – zarządca bóżnicy.

- Zdjąłem.
- Dlaczegoś zdjął?
- Jestem wolny – odpowiada.
- Jak to jesteś wolny?

A on:

- Wszyscy jesteście wolni.

Pytam go:

- Co to znaczy, że wszyscy jesteście wolni?
- Nie chodzimy już do gimnazjum.
- Dlaczego już nie chodzicie?
- Powzięliśmy uchwałę, aby nie chodzić.
- Jak to, powzięliście? Kto powziął? Ładna historia! Więc po to się zrujnowałem, straciłem prawie wszystko, abyś ty mógł podejmować uchwałę? Biada tobie, mnie i nam wszystkim! Błagajmy Boga, żeby to się nie skrupiło na głowach żydowskich, albowiem Żyd jest wszędzie kozłem ofiarnym!

Tak mówię, gniewam się i wymyślam, jak to ojciec synowi. Ale mam przecież żonę. Ta wpada na mnie z krzykiem, że tak a tak, że nic nie rozumiem, że nie wiem, co się dzieje na świecie. Świat się zmienił, świat jest teraz wolny, mądry... Nie ma już bogaczy ani ubogich. Nikt nie strzyże baranów, nie zarzyna kur, koty już nie drapia, myszy nie gryzą...

– Bój się Boga, kobieto, co ty wygadujesz? Co to za mowa? Może byś wypuściła wszystkie kury z kojca?

Dopiero ci wpadła w gniew, jakbym ją oblał wrzątkiem. I dalej w krzyk, tak jak to one potrafią...

– Wiesz co? – powiadam. – Dobrze, zgadzam się na wszystko... Tylko umilknij, błagam cię, umilknij! Tak jest. Przyznaję się do grzechu i niech już będzie spokój!

Gdzież tam! Nie chce słuchać.

– Nie! – powiada. – Chciałabym wiedzieć, dlaczego, z jakiej racji i co to znaczy, i jak to się mogło stać!

I raz jeszcze to samo, i znów to samo... Proszę was – powiedzcie mi, kto wymyślił... kobietę?

POBÓR

Skąd ja jadę? – odzywa się do mnie wysoki, szczupły, brodaty Żyd w pluszowym kapeluszu. Dopiero co zmówił modlitwę i składa tałes i tefilin.

– Skąd ja jadę? – powtarza. – Biada mi, moi kochani! Wracam z poboru... Właściwie nie ja, tylko mój syn, który tam leży na ławce. Wracamy z Jehupca. Byliśmy u adwokata, aby zasięgnąć rady, oraz u profesora, aby usłyszeć, co powie...

Bóg doświadcza mnie tym poborem – nie inaczej. Cztery razy stawał mój syn i dotychczas nie wylał z tej biedy! A przecież jedynak, oko w głowie. A więc, zdawałoby się, w porządku! Powinien być wolny. Boicie się, że was zanudzę? Nic nie szkodzi – możecie posłuchać...

Cała sprawa tak się przedstawia: co do mnie, to jestem międzyrzeczanin, czyli z Międzyrzecza. Zameldowany jestem w Worotilówce jako stały mieszkaniec, tamże urodzony. Rozumiecie? Niegdyś, pożał się Boże, mieszkałem w Worotilówce, ale teraz mieszkam w Międzyrzeczu...

Mniejsza z tym, kim jestem i jak się nazywam. Muszę wam jednak powiedzieć, jak na imię memu synowi, gdyż to ma jak najściślejszy związek z całą sprawą. Owóż syn mój nazywa się Icek – czyli Abraham Jicchok. Ale wołamy na niego Alter, bo takie imię nadała mu moja żona, oby żyła sto dwadzieścia lat! Jedynak, oczko w głowie. Właściwie mieliśmy jeszcze jednego, młodszego o rok, nazywał się Ajzyk. Zdarzyło się jednak nieszczęście. Zostawiono go, to jest Ajzyka, gdy był dzieckiem, samego w domu. Mieszkałem jeszcze wtedy w Worotilówce. Coś mu wpadło do głowy i dzieciak, czyli Ajzyk, przyczołgał się do samowaru i wylał na siebie wrzątek. Żywcem się ugotował! Od tego czasu Icek, czyli Abraham Jicchok, stał się jedynakiem, a ona, to jest moja żona, nazwała go Alterem.

Spytacie zapewne, co może mieć wspólnego jedynak z poborem? W tym właśnie sęk. Mylicie się. Cherlak, chorowity! Chorowity – to może przesada. Chory to on nie jest, ale nie można również powiedzieć, że jest zdrow. Szkoda, że teraz śpi, nie chcę go budzić. Gdy wstanie, sami zobaczycie tego siłacza: skóra i kości, wysoki i chudy, twarz jak figa – istny szkielet wyciągnięty jak łodyga palmowa. A żona moja również wysoka i chuda, wątła i delikatna.

Dziwicie się na pewno i pytacie, co może więc mieć wspólnego z poborem syn mój, jedynak i do tego cienki jak patyk. Przecież jedynak korzysta z „ulgi”!

Nadszedł dzień poboru – okazało się, że nie ma ulgi. Zdarzyła się rzecz najzwyczajniejsza w świecie: młodszego mego syna, Ajzyka, co to dzieckiem będąc ugotował się pod samowarem, zapomniano wykreślić z ksiąg ludności! Pobiegłem więc do kazionnego rabina¹⁷ – do tego niedołęgi! – z krzykiem:

– Czemu, prawco, uwzięliście się na mnie i nie wykreśliliście z ksiąg mego syna Ajzyka?

A ten mnie zapytuje:

– A kto to był Ajzyk?

– Jak to – powiadam – nie wiecie, nie słyszeliście o Ajzyku? To był mój syn, ten sam, który się ugotował pod samowarem!

A on do mnie:

– Pod jakim znowu samowarem?

– Moje uszanowanie, czy jesteście tutejsi? Zdziwiająca macie pamięć! Na takiej głowie dobrze tłuc orzechy... Któż nie pamięta – powiadam – wypadku, jaki się zdarzył z moim synem Ajzykiem, który ugotował się pod samowarem? Nie rozumiem, po co piastujecie u nas godność rabina, skoro żadnych spraw religijnych nie rozstrzygacie, bo na to jest inny rabin do stu dwudziestu lat! Więc powinniście przynajmniej zajmować się umarłymi, bo w przeciwnym razie, za co płacimy podatek kahalny?

¹⁷ Kazionny rabin – rabin prowadzący księgi metrykalne.

A jednak niesłusznie wyłajałem tego mądrą! Przecież historia z samowarem zdarzyła się nie w Międzyrzeczu, lecz w Worotilówce, gdzieśmy podówczas mieszkali. Zupełnie o tym zapomniałem.

Co tu dużo gadać? Zanim się ruszyłem i wyostałem papiery, odebrano memu Abrahamowi Jicchokowi, czyli Ickowi, którego nazywamy Alterem, całą ulgę – i to pierwszego stopnia! Nie ma ulgi! I co teraz począć? Gwałt, rozpacz! Jak to? Jedynek, jeden jedyny, prawdziwy, czysty, koszerny – i bez żadnej ulgi? Szukaj wiatru w polu! Przepadło...

Jest jednak wielki Bóg w niebie – i oto mój Alter, czyli Jicchok, wyciąga los z numerem 699. Aż się komisja zdumiała! Sam przewodniczący dał mu kuksańca w bok: „Brawo, Icko zuch!” Całe miasteczko mi zazdrościło: numer sześćset dziewięćdziesiąty dziewiąty! To szczęście! Winszujemy! Wszystkiego najlepszego... Składali mi życzenia, jak gdybym wygrał na loterii.

Ale znacie przecież naszych Żydów... Gdy doszło do poboru, zaczęto „brakować”. Sortowano bez końca. Okazało się, że przed komisją stawały same kaleki: ten ma taką ułomność, tamten znów inną...

Jednym słowem, co tu dużo gadać? Dobrali się do mojego syna, do numeru 699 – i mój Icek, czyli Alter, musiał stanąć goły, jak go matka na świat wydała, razem z krawcami i szwaczami... W domu płacz! Mało płacz – rozpacz, żałoba! Żona zalewa się łzami, teściowa mdleje. Słyszane to rzeczy, aby jedynak, jeden jedyny, prawdziwy, czysty, koszerny – nie korzystał z ulgi?! A syn mój, czyli Icek, jak gdyby nigdy nic. „To, co będzie z innymi Żydami, to samo stanie się ze mną...” Usiłuje dowcipkować, a duszę ma na ramieniu.

Aliści jest przecież wielki Bóg w niebie! Wprowadzają więc mego Icka nagiego, doktor go bada, mierzy wzdłuż i wszerz, opukuje, ogląda, maca, męczy – i co się okazuje? Niezdatny... To znaczy, zdatny jest, tylko nie na żołnierza. Brak mu do miary pół cała wszerz! „Niezdatny.” Biały bilet... Znów radość, wesele, życzenia ze wszystkich stron! Niechaj mi się szczęści! Zebrała się rodzina, wódka na stole, pijemy za jego zdrowie. Dzięki Bogu, pozbyliśmy się poboru!

Ale nasi kochani Żydzi... Sądzą może, że nie znalazł się łobuz, który zadenuncjował mnie w urzędzie gubernialnym, że to niby „smarowałem”? Co tu dużo opowiadać? Zanim upłynęły dwa miesiące od poboru, dostaję zawiadomienie, że syn mój Icek, czyli Alter, ma się zgłosić w urzędzie gubernialnym dla powtórnego zbadania. No, i cóż powiecie? Dobra nowina? W domu prawdziwe wesele. Moja żona, oby żyła sto dwadzieścia lat, klnie na czym świat stoi, teściowa mdleje. To się tylko tak mówi: dwa razy staje do poboru jedynak, jeden jedyny, prawdziwy, czysty, koszerny!

Szkoda słów! Skoro go zapraszają do urzędu gubernialnego, nie można być, z przeproszeniem, świnią i trzeba jechać. Przyjeżdżamy do guberni, biegam tu i tam... Kto wie? Może przyda się dobre słowo? Ale gadaj do lampy! Opowiedz im, że to jedynak, jeden jedyny, przy tym niezupełnie zdrowy – skoro cię wyśmiewają! A mój syn? Powiada, że przystojniejszych kładą do trumny. Poza tym, pobór ma w pięcie. Jeśli mu sądzone służyć, to będzie służył. Skarzy się tylko, że nie może patrzeć, jak płaczą kobiety. I dlatego chciałby, żeby się jednak udało. Kto wie, może się uda w guberni? Wszystko zależy od szczęśliwego przypadku, jak na loterii...

Aliści jest przecież wielki Bóg w niebie! Wprowadzili więc mego Icka, czyli Altera, z przeproszeniem, zupełnie nagiego – przed komisję gubernialną. Znów zaczęto go opukiwać, macać, męczyć – i co się okazało? Niezdatny. To znaczy, że jest zdatny, tylko nie na żołnierza... Jeden z komisji przeciwstawił się nawet innym i powiedział:

– Zdatny!

Ale doktor mu przerwał:

– Niezdatny!

Tamten mówi:

– Zdatny!

A ten znów:

– Niezdatny!

Zdatny – niezdatny! Sprzeczał się tak długo, aż sam gubernator powstał z miejsca, podszedł bliżej, przyjrzał się i rzekł:

– Zupełnie niezdatny.

To znaczy, że jest do niczego. Natychmiast wysłałem do domu umówioną depeszę: „Szczęść Boże! Towar ostatecznie odrzucony!”

Trzeba pecha, że depeszę zanesiono nie do naszego mieszkania, lecz do mego siostrzeńca, który nazywa się tak jak ja. Jest przy tym bogaczem, czego o mnie nie można powiedzieć. Od niedawna handluje wołami. Wysłał właśnie partię wołów do kilku guberni i wypatrywał depeszy, aż mu oczy na wierzch wyłaziły... Domyślcie się, jak mu było przyjemnie, gdy otrzymał depeszę: „Towar ostatecznie odrzucony!” Gotów był po prostu mnie zabić...

Rozumiecie, jak to mogło wyprowadzić z równowagi takiego bogacza! No i trudno odmówić mu racji!

Wróćmy teraz do owych czasów, gdy mieszkaliśmy jeszcze w Worotilówce, a mój Icek, czyli Alter, był małym dzieckiem. Pewnego dnia zdarzyło się, że w całym mieście zarządzono rewizję. Chodzono po mieszkaniach i zapisywano każdego z osobna: dzieci i dorosłych, ile kto ma lat, czy jest mężczyzną, czy kobietą i jak mu na imię. Gdy zapytali o mego Icka, jak mu na imię, żona moja – oby zdrowa była! – odrzekła:

– Alter.

Ten, co zapisywał, pomyślał chwilkę i napisał: „Alter”.

I oto w rok po udanym poborze nowa historia: szukają Altera, który ma się stawić do przeglądu w Worotilówce. Dobra wiadomość! Moje uszanowanie, reb Alter!

Jednym słowem, co tu dużo gadać? Wzywają mego Icka, czyli Altera, raz jeszcze do poboru. Moja żona – oby żyła sto dwadzieścia lat! – wrywa sobie włosy z głowy, teściowa mdleje. Któż to słyszał coś podobnego, żeby tłuc się po całym świecie i żeby jedynek, najprawdziwszy, koszer, trzy razy musiał stawać do przeglądu?! Ale mów z nimi po turecku, po tatarsku – co ci z tego przyjdzie? Pobiegłem do naszego kahału, narobiłem gwałtu i ledwo wskórałem, że dziesięciu Żydów miało przysiąc i podpisać, iż wiedzą z całą pewnością, że Jicchok, czyli Abraham Jicchok – to Alter i że Alter, Icek i Abraham Jicchok – to jedna i ta sama osoba.

Wydostawszy ten dokument pojechałem do Worotilówki. Przyjeżdżam – witają mnie jak drogiego gościa. Co słyhać, reb Josel? Co was sprowadza do naszego miasteczka? Naturalnie, nie chciałem im powiedzieć prawdy, bo i po co?

– Nic szczególnego – zapewniam ich. – Mam interes do dziedzica.

– W jakiej sprawie?

– W sprawie prosa. Handlowałem prosem. Dałem zadatek i nie ma prosa. Przejadła krowa z postronkiem...

Pędzę co tchu do urzędu. Zastaję tam pisarza, i to pisarza całą gębą. Podaję mu papier. Przeczytał dokument, rozgniewał się i cisnął mi go prosto w twarz z taką złością, że nie daj Boże!

– Wynoście się – krzyczy – do stu tysięcy diabłów z waszymi żydowskimi kombinacjami! Chcecie się wykreśćić od służby wojskowej, więc robicie z Abrahama Jicchoka, z Jicchoka Icka, a z Icka – Altera! Nie udadzą wam się te sztuczki, szacher–macher!

„No – pomyślałem – jeśli szacher–macher, to widocznie chce coś do łapy...” Wyjmuję więc rubla z kieszeni i wręczam mu, mówiąc po cichu.

– Proszę mi wybaczyć, ekscelencjo!

A on jak na mnie nie ryknie.

– Łapówka!

Wnet zbiegli się ze wszystkich stron pisarze i – co tu długo opowiadać – wyrzucili mnie za drzwi...

To dopiero pech – natrafić na takiego, co nie bierze! Ale tak się tylko mówi: nie bierze! Czego nic dokonasz przy pomocy naszych Żydów? Koniec końców znalazłem osobę, za której pośrednictwem tamten przyjmował łapówki. Wszystko to tyle pomogło co umarłemu bańki. Skończyło się na tym, że mam jeszcze jednego syna, któremu na imię Alter.

I tenże Alter ma się stawić w Worotilówce do poboru. A to nieszczęście!

Powiadam wam, mam chyba żelazne zdrowie, jeśli przeżyłem ten rok. Chociaż, prawdę mówiąc, czego się miałem obawiać? Niech będzie dziesięć razy pobór, skoro wiem, że ten szczeniak jest niezdatny – to znaczy, zdatny jest, ale nie na żołnierza – i że go już dwukrotnie nie przyjęto. Ale pomyślałem: obce miasto i członkowie komisji, którzy nie biorą łapówek... Kto wie, co się może zdarzyć?

Aliści jest wielki Bóg w niebie: mój Alter, czyli Icek, znów wyciągnął los, zgłosił się do przeglądu, stał się cud i worotilowska komisja orzekła: „Niezdatny.” I wydała mu biały bilet. Mamy więc już, z boską pomocą, dwa białe bilety!

Przyjechaliśmy do domu: radość nie do opisania. Zaprosiliśmy prawie całe miasteczko, hulaliśmy i tańczyli do rana. Albowiem któż teraz może się z nami równać? Toć to nie drobiazg!

Ale powróćmy do mego syna – błogosławionej pamięci Ajzyka, tego, który przed laty wylał na siebie samowar. Dowiedcie się ciekawych rzeczy. Cóż takiego zaszło? Bądź tu prorokiem i domyśl się, że ten kochany rabin z Worotilówki zapomni wykreślić mego zmarłego Ajzyka z księgi metrykalnej! Z tego wynika niezbitcie, iż mam jeszcze jednego syna, który w tym roku powinien stanąć do poboru! Dobra nowina, co?

O, ja nieszczęsny! Ajzyk! Jaki Ajzyk? Ajzyk już od dawna jest na tamtym świecie...

Udałem się po radę do naszego rabina.

– Niedobrze – powiada.

– Dlaczego niedobrze?

– Dlatego – mówi – że Icek i Ajzyk to jednakowe imię.

– Dlaczego, mądralo – pytam – Icek i Ajzyk to ma być jedno i to samo?

A on na to:

– Icek to jest Jicchok, Jicchok to Izaak, Izaak to Izak, Izak i Ajzyk to jednakowe imiona.

No i wymyślił!

Jednym słowem, co tu dużo gadać? Szukają mego Ajzyka, wypruwają mi żyły i żądają, abym go sprowadził na komisję!

W domu czarna rozpacz. Mało – rozpacz! Sądny dzień! Żona moja – oby żyła sto dwadzieścia lat! – przypomniawszy sobie zmarłego i odnowiły się stare rany.

– Lepiej byłoby – zawodziła – żeby teraz żył i stawał do poboru zamiast leżeć i gnić w ziemi... A poza tym, kto wie? Może rabin ma słuszność? Może naprawdę Icek to Jicchok, Jicchok to Izaak, Izaak to Izak, a Izak to Ajzyk? Ładna historia!

Tak mówiła moja żona zanosząc się od płaczu, a teściowa jak zwykle co chwila mdlała. Bo powiedzcie sami: jedynak, jeden jedyny, prawdziwy, koszer – trzy razy stawał do przeglądu wojskowego, dwa białe bilety i jeszcze nie koniec!...

Wziąłem nogi za pas i pojechałem do miasta, rozumie się, ze synem. Po pierwsze, aby zasięgnąć rady u dobrego adwokata, a po drugie, aby usłyszeć, co też powie profesor o moim synu: czy jest zdatny, czy też niezdatny? Chociaż, prawdę mówiąc, sam wiem dobrze, że ten szczeniak jest niezdatny – to znaczy zdatny jest, lecz nie na żołnierza. Ale gdy usłyszę zdanie adwokata i profesora, wtedy już będę mógł spać spokojnie, przestanie mnie dręczyć myśl o poborze.

Tymczasem co się okazało? Okazało się, że adwokat i profesor nie powiedzieli mi nic mądrego. Jeden mówi tak, a drugi siak, jeden zaprzecza drugiemu, aż się w głowie maści! Po prostu nie warto słuchać...

Pierwszym razem trafiłem na adwokata o tepej głowie – nieco przygluchego. Czoło miał wysokie, a łeb lśniący i łysy. Choćby kluski na nim wałkować!

Ta mądra głowa nie mogła nijak pojąć, kto jest Alter, a kto Icek, kim jest Abraham Jicchok, a kto był Ajzyk. Musiałem mu niezliczoną ilość razy opowiadać, że Abraham, Jicchok i Alter – to jedna i ta sama osoba, a Ajzyk to był ten, który przewrócił na siebie samowar, gdy mieszkaliśmy jeszcze w Worotilówce. Zdawało mi się, że wreszcie zrozumiał, gdy nagle zadaje mi pytanie:

– Przepraszam, powiedzcie mi, który z nich był starszy: Icek Alter czy Abraham Jicchok?

– Ależ, panie – powiadam. – Mówiłem już panu piętnaście razy, że Icek, Abraham, Jicchok i Alter to jedna i ta sama osoba! Mój syn nazywa się właściwie Abraham Jicchok, ale wołamy na niego Alter, gdyż matka dała mu takie imię, natomiast Ajzyk to ten, który wywrócił na siebie samowar, gdy mieszkaliśmy jeszcze w Worotilówce.

A on do mnie:

– Kiedy więc, czyli w którym roku, stawał do poboru Abraham Alter, czyli Jicchok Ajzyk?

– Co też pan wygaduje? – wołam. – Dlaczego mieszał pan kaszę z barszczem?! Po raz pierwszy spotykam Żyda z taką niepojętą głową! Mówię przecie panu, że Abraham, Jicchok, Icek, Ajzyk i Alter – to jedna osoba!

– Cicho, sza! – powiada. – Proszę tak nie krzyczeć, dlaczego podnosicie głos?

Jak się to wam podoba? Chciał mi jeszcze wmówić, że ma rację!

Jednym słowem, splunąłem i udałem się do innego adwokata. Tym razem natrafiłem na mądrego, może nawet za mądrego adwokata. Pocierał czoło, zaglądał do ksiąg, cytował różne ustawy i wywodził, że na zasadzie takiego a takiego paragrafu okręg międzyrzecki nie powinien być go wpisywać do swoich wykazów. A skoro okręg go wpisał, to inny okręg powinien go wypisać, czyli wykluczyć. I znów, powiada, jest takie prawo, że skoro jeden okręg wpisał, a drugi nie wypisał, to powinien go wypisać, czyli wykluczyć. A na zasadzie kasacji, skoro tamten okręg go nie wypisał, czyli...

Jednym słowem: takie prawo czy inne prawo, taka kasacja czy siaka kasacja... Całą głowę mi zakasował, tak że musiałem pójść do trzeciego. Znowu trafiłem na niedołągę. Był to młody adwokatik, jak to powiadają, świeżo spod igły – dopiero co ukończył wydział prawny. Bardzo nawet sympatyczny człowiek o dźwięcznym głosiku. Okazało się, że uprawia krasomówstwo. Trzeba przyznać, że mówi bardzo ładnie, niech mu to wyjdzie na zdrowie! Tak się rozgadał i zapalił wygłaszając całe przemówienie, że musiałem mu przerwać.

– Owszem, ma pan słuszność. Ale co mi z tego przyjdzie, że mnie pan oplakuje? Niech mi pan lepiej poradzi, jak ma postąpić mój syn, jeśli, broń Boże, znowu otrzyma wezwanie?

Co tu będę dużo gadał? Dotarłem wreszcie do prawdziwego adwokata. Był to mecenas z tych starych mecenasów, co to rozumieją się na rzeczy. Wyłożyłem mu całą historię od a do zet. Siedział przez cały czas z zamkniętymi oczami i słuchał. Wysłuchawszy mnie, rzekł:

– Czy skończył pan już? Może pan jechać do domu... To głupstwo! Co najwyżej trzeba będzie zapłacić trzysta rubli grzywny.

– Czy o to tylko idzie? – powiadam. – Gdybyż trzeba było zapłacić tylko trzysta rubli grzywny! Ale ja się boję o mojego syna!

– O jakiego syna?

– Jak to, o jakiego syna? O mojego Altera, czyli Icka!

– Co to ma wspólnego z Ickiem?

– Jak to co ma wspólnego? Może go znów powloką na komisję?

– Przecież, jak mówicie, otrzymał biały bilet?

– Ma nawet dwa białe bilety!

- Tym lepiej, czegoż chcecie?
- Czegoż miałbym chcieć? Nic nie chcę! Ale skoro szukają teraz Ajzyka, a Ajzyka nie ma, a ponieważ Alter, czyli Icek, zapisany jest jako Abraham Jicchok, Jicchok zaś, jak twierdzi ów lizus nasz rabin, to Izaak, a Izaak jest Ajzykiem – więc boję się, aby, broń Boże, nie powiedzieli, że mój Icek, czyli Abraham Jicchok, czyli Alter, to Ajzyk.
- A więc tym lepiej – mówi adwokat. – Jeśli Icek jest Ajzyk, to nie będzie pan płacił grzywny. Przecież on ma biały bilet!
- Dwa białe bilety! Ale te bilety ma Icek, a nie Ajzyk!
- Przecież pan sam mówił, że Icek to Ajzyk!
- Ja powiedziałem? Jakże mogłem powiedzieć, skoro Icek jest Alter, a Ajzyk to ten, który wyrócił na siebie samowar, gdy mieszkaliśmy w Worotilówce...
- Wtedy adwokat rozgniewał się nie na żarty i kazał mi się wynosić:
- Precz stąd, natrętny Żydzie!
- Tak powiedział! No i co wy na to? Rozumiecie, co to znaczy? To znaczy, że jestem nudziarzem! Ja jestem nudziarzem – ja?!

DZIESIĄTY

Było nas tylko dziewięciu Żydów w wagonie. Brakowało dziesiątego. Bez dziesiątego nie odmówisz modlitwy za umarłych...

Właściwie był również dziesiąty. Ale nie mieliśmy pewności, czy to Żyd, czy chrześcijanin. Milczący pasażer w złotych okularach. Twarz pociągła, bez brody. Nos żydowski, ale wąsy podkreślone do góry. Uszy sterczące, kark czerwony. Przez cały czas trzymał się na uboczu. Wyglądał przez okno i pogwizdywał. Siedział bez kapelusza, na kolanach trzymał rosyjską gazetę. Milczał, nie odezwał się ani słówkiem. Niewątpliwie Rosjanin, prawdziwy Moskal! – A może nie? Czy to naprawdę chrześcijanin? Tak i nie. Cóż to takiego? Żyd Żyda nie oszuka. Żyd pozna Żyda po ciemku i z daleka. Ale ten? Podobny do Żyda. I znów niepewność: a może nie Żyd? W dzisiejszych czasach trudno rozpoznać. Niejeden Żyd pragnie, by uważano go za nie-Żyda.

Cóż począć? Potrzebny nam dziesiąty! Jeden z pasażerów obchodzi dziś rocznicę. Sądziacie zapewne, że zwykłą rocznicę śmierci ojca albo matki? Nie, to rocznica po dziecku. Rocznicą śmierci syna jedynaka. Ledwo zdołał wybłągać, aby mu wydano zwłoki z więzienia i pozwolono pochować na cmentarzu żydowskim.

Ojciec przysięga, że syn był niewinny. Zbyt szybko go osądzono. Był wprawdzie towarzyszem, ale nie należał do partii. Nie powinni go byli powiesić! Ale przepadło... Wkrótce poszła za nim matka. Nie od razu. Przedtem długo się namęczyła. A on sam postarzał się i osiwił.

– Jak wam się zdaje? Ile mam lat? Patrzymy na niego i usiłujemy odgadnąć, ile ma lat. Na próżno. Młode oczy, a włosy siwe. Czoło w zmarszczkach, twarz dziwnie wykrzywiona. I sam taki dziwny. W przydługim surducie, wymiętym kapeluszu, z rozczochraną brodą...

Oczy... Ach, te oczy! Takich oczu nie można zapomnieć – tych śmiejących się i jednocześnie płaczących oczu. Gdybyż się poskarżył, uronił choć jedną łzę! Dziwny człowiek: żywy, wesoły, rozmowny...

– Skąd weźmiemy dziesiątego? – odezwał się jeden z nas i spojrzał na nieznajomego, który udawał, że nic nie słyszy. Siedział przy oknie i pogwizdywał popularną melodię.

– Mówicie o dziesiątym? – zauważył ktoś inny. – Policzymy, a nuż jest dziesiątka?

I zaczął liczyć na palcach: jeden, dwóch, trzech...

– A mnie nie liczycie? – spytał po żydowsku tajemniczy pasażer.

Ogarnęło nas zdumienie.

– Przecież pan nie jest Żydem?

– Jestem Żydem, ale nie uznaję podobnych zwyczajów!

Przez pewien czas siedzieliśmy zdumieni i patrzyliśmy na siebie nie mówiąc ani słowa. Ale ten, który obchodził rocznicę po synu, bynajmniej się nie zmieszał. Z tym swoim płaczącym uśmiechem zwrócił się do młodzieńca przy oknie:

– Oby pan doczekał stu dwudziestu lat! Należy się panu złoty medal...

– Złoty medal? Za co?

– Powiem panu, ale to długa historia. Jeśli pan zechce być dziesiątym, to zmówimy najpierw kadysz¹⁸ po moim synu, a później panu opowiem.

Wyjął koszulę śmiertelną, włożył ją na surdut, obrócił się twarzą do ściany i począł odmawiać kadysz.

Lubię tę codzienną modlitwę. Taka modlitwa słodsza jest od popisowych sztuczek kantora i pompy świątecznej. W modlitwie odmawianej przez ojca było tyle uczucia, że wszystkich nas ogarnęło wzruszenie. Nie wątpię, że wzruszyło to również „dziesiątego”. To przecież musi chwycić za serce, gdy się słyszy ojca odmawiającego kadysz po synu. A ten ojciec miał

¹⁸ K a d y s z – modlitwa za zmarłych.

głos taki łagodny, kojący. A poza tym – sama modlitwa! Tylko kamień nie wzruszyłby się dźwiękami tych słów...

Po zakończeniu modlitwy ojciec przysiadł się do nieznanego i jął opowiadać. Opowiadając gładził się po brodzie, a mówił powoli, jak człowiek, który ma dużo czasu...

– Historia ta, młody człowieku, składa się właściwie z trzech opowiadań, z trzech krótkich opowiadań.

Pierwsza historia zdarzyła się u arendarza. We dworze mieszkał arendarz z żoną. Dwór był wielki, przestronny. Znalazłbyś tam wielu chrześcijan, lecz ani jednego Żyda – prócz arendarza. Tym lepiej się zarabia. Jak powiadają: mieszkać masz wśród obcych...

Przez długie lata nie mieli dzieci. Aż dopiero gdy się zestarzel, Bóg się nad nimi zmiłował. Arendarka zaszła w ciążę i powiła arendarzowi syna. Łatwo domyślić się, jaka tam zaplanowała radość! Trzeba więc odprawić chrzciny, jak przystoi Żydowi. Ósmego dnia nasz arendarz zaprzągnął konia do wozu i pojechał do miasta, aby sprowadzić rabina, szocheta¹⁹ z szamesem²⁰ i jeszcze pięciu Żydów.

W domu oczekiwała gości suta wieczerza. Wszystko było przygotowane. Nagle spostrzegli się, że brak dziesiątego Żyda. Jak to się stało? Tępa, arendarska głowa! Zaliczył do grona modlących się również swoją żonę...

Powstał śmiech – ale co z tego? Czas nie stoi w miejscu. Co począć? Wieś dużą, ale ani jednego Żyda. Źle. Wtem patrzą – jedzie wóz. Niech będzie woźnica, byle Żyd! Trudno opisać radość obecnych.

– Wejdźcie, prosimy, będziecie dziesiątym!

Teraz widzimy, jak wielki jest nasz Bóg! Cała wieś nie poradzi. A tu zjawia się jeden Żyd, furman, i już dobrze!

Druga historia nie zdarzyła się na wsi, lecz w mieście, w małym żydowskim miasteczku. Było to w piątek wieczór, po zapaleniu świec. Gospodarz wrócił z bóżnicy, umył ręce, zmówił modlitwę. Wtem świeca zaczęła kopcic. Pod zwisający knot podstawiono chałę szabasową, ale nie pomogło. Knot spadł na stół, zajął się obrus... Powstał pożar.

Co począć? Gasić? Przecież nie wolno! Sobota! Zbiegli się sąsiedzi, cała ulica. Krzyczą, załamują ręce... Żydzi, jesteście zgubieni! Patrzą – a tu idzie Fedor, szabesgoj²¹.

– Fedorze drogi! Czy widzisz to wielkie światło?

A Fedor, choć tępa ma głowę, w lot zrozumiał, co się święci. Splunął w garść, dużą łapą ściągnął płonący obrus ze stołu, stłumił ogień i nie ma już pożaru! Więc pytam was: któż zdoła przewidzieć cud z nieba? Tylu Żydów nic nie mogło pomóc, a przyszedł szabesgoj i ocalił całe miasteczko...

A teraz opowiem panu trzecią historię, która zdarzyła się u samego rabina. Rabin – oby żył! – miał syna jedynaka, wielce udanego, pełnego wszelkich zalet. Słowem: takiego, jakiego tylko może mieć rabin. Ożeniono go bardzo wcześnie. Dano mu żonę, posag i dożywotnie utrzymanie u teścia. Miał siedzieć na miejscu i uczyć się...

Byłoby wszystko w porządku, gdyby na świecie nie brali do wojska. Chociaż, prawdę mówiąc, co może pobór obchodzić syna rabinowego? Po pierwsze, jest jedynakiem. Po drugie, jeśli zwolnienie ma nawet kosztować, to nie zabraknie pieniędzy. Były jednak, niestety, straszne czasy. Zabierano Żydom jedynaków, a i pieniądze nie pomagały. Nawet dziesięć tysięcy!

Straszna komisja, niedobry doktor, źle!

¹⁹ S z o c h e t – rzezak rytualny.

²⁰ S z a m e s – sługa bóżniczy.

²¹ Szabesgoj – chrześcijanin za zapłatą wyręczający Żyda w szabas i w święta w czynnościach codziennych.

I cóż na to powiecie, młody człowieku, wprowadzono syna rabinowego – nagiego. Po raz pierwszy w życiu wypadło mu stanąć bez czapki na głowie. I to było jego szczęście! Albowiem na obnażonej głowie ukazało się... nie życzę wam tego... cacko... Pozostało mu to jeszcze z lat dziecińczych. Był dzieckiem upartym, nie dał sobie myć głowy.

Oczywiście, został uwolniony.

A teraz pytam cię, młody człowieku, ileś ty wart? Jesteś Żydem, pragniesz być gojem – a bohaterem trzeciej historii jesteś z całą pewnością... Czy nie należy ci się za to złoty medal?

Na najbliższej stacji nasz dziesiąty ulotnił się jak kamfora.

TRZECIA KLASA

Nie będzie to żadna opowieść, ale pogawędka – kilka słów pożegnalnych od dobrego przyjaciela.

Rozstając się z wami, drodzy Czytelnicy, chcę w dowód wdzięczności za waszą cierpliwość udzielić wam rady, która pochodzi od człowieka praktycznego, od komiwojażera. Posłuchajcie i zapamiętajcie sobie moje słowa.

Gdy odbywacie dłuższą podróż koleją i chcecie uniknąć nudy, nie jedźcie nigdy ani pierwszą, ani drugą klasą.

Wystrzegajcie się zwłaszcza pierwszej klasy. Nie brak tam wprawdzie komfortu, jest miękko i wygodnie. Ale chodzi mi o ludzi, o pasażerów. Cóż to za przyjemność dla Żyda podróżować samemu i przez cały czas nie odezwać się do nikogo ani słowem? Można od tego, uchwaj Boże, stracić mowę. Jeśli nawet spotkasz tam pasażera, to będzie nim albo niemrawy dziedzic z nadętymi jak trębacz policzkami, lub napuszona dama, zgryźliwa jak zła teściowa, albo też milczący cudzoziemiec w kraciastych spodniach. Siedzi przyklepiony do okna i nie ruszy się z miejsca, choćby w wagonie wybuchł pożar. Smutne myśli przychodzą do głowy, gdy jedziesz w towarzystwie takich osób. Zaczynasz rozmyślać o śmierci – a po cóż ci to, do kaduka!

Sądźcie zapewne, że w drugiej klasie jest lepiej? Bynajmniej. Siedzicie w towarzystwie wielu osób. Zdawałoby się, tacy sami ludzie jak wy. Każdy chciałby coś powiedzieć, zasięgnąć bliższych informacji, dowiedzieć się, skąd jesteście, dokąd jedziecie i jak was zwać. Ale oni siedzą jak te mumie, jeden spogląda na drugiego, nabrali wody do ust i milczą.

Tam, naprzeciw was, siedzi elegant o długich paznokciach i pięknych wąsach. Moglibyście przysiąc, że go znacie, żeście go już widzieli, ale nie pamiętacie gdzie. Zdaje wam się nawet, że to jeden z „naszych”, czyli Żyd. Ale jak się o tym przekonać, skoro tamten milczy? Podkręca wąsiki, wygląda oknem i gwizdże.

Prawdę mówiąc, wyrządilibyście mu niemałą krzywdę zwracając się doń z zapytaniem w jakimkolwiek obcym języku, gdy w wagonie siedzą chrześcijanie – a szczególnie damy. Spytajcie go raczej po rosyjsku: „Zdaje się, że miałem przyjemność spotkać pana w Berdyczowie?” Jest to stokroć gorsze, niż gdybyście go powitali stekiem wyzwisk.

Jeśli spotkacie takiego osobnika gdzieś na Podolu lub Wołyniu – możecie z nim nawiązać rozmowę w języku polskim: „Przepraszam pana! Jeśli się nie mylę, znałem ojca pańskiego, który był w łaskach u jaśnie wielmożnego grafa Potockiego.”

Nie są to słowa obraźliwe. A jednak wspominając o tym, że ojciec jego był w łaskach u grafa, stwierdzacie jednocześnie, że był Żydem... Ale mniejsza z tym! Opowiem wam lepiej o pewnym zdarzeniu, którego byłem świadkiem.

Działo się to w pociągu pośpiesznym. Jechałem drugą klasą, gdyż nie było trzeciej. Naprzeciw mnie siedział jegomość, po którym trudno było poznać, czy jest Żydem, czy chrześcijaninem. Wyglądał raczej na Żyda. A zresztą, kto wie? Młodzieniec przystojny, wygolony, ubrany jak sportowiec, w białych spodniach, z czarnym pasem – no i kawaler. Dlaczego przypuszczam, że nieżonaty? Bo przez cały czas umizgał się do ładnej panienki. Panna była modnie uczesana i nosiła binokle na małym, kształtnym nosku. Zawarli znajomość w wagonie. Ona częstowała go czekoladą, a on zabawiał ją anegdotami – najpierw ormiańskimi, później żydowskimi. Oboje pokładali się ze śmiechu. Głównie śmiali się z anegdot żydowskich, które młodzieniec ilustrował odpowiednią gestykulacją i wymową. Nie zwracał na to uwagi, że jako Żyd mógłbym się czuć dotknięty.

Flirtowali coraz ogorliwiej. Młody człowiek siedział już obok panny, zaglądał jej w oczy, a ona bawiła się dewizką jego zegarka zatkniętego za czarny pas.

Nagle, nie pamiętam już na jakiej stacji, do wagonu wchodzi Żyd utykający na jedną nogę, rudy, spocony, z białym parasolem. Wyciąga rękę do mego sportowca i rzecze doń po żydowsku:

– Jak się pan miewa? Poznałem pana przez okno. Mam dla pana ukłony od pańskiego wuja Załmena z Monasterzysk...

Oczywiście na najbliższej stacji mój sportowiec ulotnił się, a panienka została sama. Ale nie na tym koniec. Panna była chyba bez dwóch zdań chrześcijanką – w przeciwnym bowiem razie, dla czegoż mój sportowiec miałby dać drapaka? Po pewnym czasie zaczęła układać swoje rzeczy nie odzywając się do mnie ani słowem i nie patrząc na mnie, jak gdybym w ogóle nie istniał. Na stacji, na której wysiadła, oczekiwał ją Żyd o dostojnym wyglądem, do żywego przypominający praojca Abrahama, i Żydówka w peruce, z wielkimi kolczykami w uszach.

– Rywciu! Córeczko! – wołali starzy i jęli córkę całować i tulić do piersi.

Komentarz zbyteczny. Chciałem was tylko zapoznać z osobami, które spotyka się w drugiej klasie. Czujecie się tam jak obcy, jak obcy wśród swoich.

Natomiast jadąc trzecią klasą – czujecie się jak u siebie w domu. A gdy w wagonie znajdują się sami tylko synowie Izraela, czujecie się już zupełnie jak w domu. Nie jest tam, co prawda, tak wygodnie, o miejsce trzeba nieraz walczyć. Panuje zgiełk, harmider. Człowiek nie wie, co się z nim dzieje i kim jest jego sąsiad. Ale znajomość zawiera się od razu. Po chwili wszystkim wiadomo, kim jesteście, dokąd jedziecie i jakie zawieracie transakcje. A wy wiecie o innych to samo.

Noc spędzacie na miłej pogawędce. Jeśli milczycie, to mówią inni – i nie dają wam spać. I po cóż zresztą spać w wagonie? Czy nie lepiej rozmawiać? Gdy się mówi, można się zawsze czegoś dowiedzieć. Obym miał taki szczęśliwy rok, ile dobrych interesów zawiera się dzięki tym przygodnym rozmowom w wagonie!

Oto na przykład toczy się rozmowa o doktorach, katarze kiszek, łapówkach, bólu zębów... Wydawałoby się, przelewanie z pustego w próżne. A tymczasem posłuchajcie, co się w związku z tym zdarzyło.

Pewnego razu jechałem w towarzystwie Żydów. Mówiono o lekarzach i receptach. Cierpiałem wówczas bardzo na żołądek – i oto jeden z obecnych, Żyd kamieniecki, zalecił mi swoje lekarstwo: jakiś proszek. Proszek ten, mówił, zapisał mu właściwie nie doktor, lecz dentysta. Proszek jest doskonały, żółty – to znaczy sam proszek jest biały, tylko w żółtym papierku. I przysięgał mi ów Żyd kamieniecki, że jedynie dzięki temu żółtemu proszkowi nie przeniósł się na tamten świat. Dużo tego nie trzeba zażywać. Wystarczą dwa, trzy proszki.

– No i pozbywacie się żołądka – twierdził stanowczo – lekarzy, naciągaczy, krwiopijców – niech ich diabli porwą! Jeśli chcecie, mogę wam dać dwa lub trzy żółte proszki, a będziecie mi dozgonnie wdzięczni...

Po powrocie do domu połknąłem te proszki – jeden, drugi i trzeci. Nie od razu, lecz znacznie później, gdzieś po północy, zaczęło mnie mdlić, jak gdybym miał wnet wyzionąć ducha. Sprowadzono kilku lekarzy i ci ledwo uratowali mnie od śmierci. Od tego czasu nabrałem doświadczenia i teraz już wiem, że jeśli Żyd kamieniecki proponuje swoje lekarstwo – to trzeba go posłać do stu tysięcy czartów!

Gdy jedziecie trzecią klasą z rana i nie macie tałesu ani tefilin, bądźcie spokojni... Wnet znajdzie się ktoś, kto was zaopatrzy w to wszystko. Za to po skończonej modlitwie odemknijcie waszą walizę i wyłóżcie całą jej zawartość: wódkę, ciasteczka, jajka na twardo, kurczęta. Jeśli macie jabłko lub pomarańczę – nie krępujcie się! Nikt wam nie odmówi, każdy z pasażerów pozwoli się poczęstować. W towarzystwie je się z większym apetytem...

A jeśli macie przy sobie butelkę wina, to znajdziecie wielu prawdziwych znawców. Każdy z nich nazwie je inaczej. Jeden powie, że to muszkat besarabski, drugi ochrzci je zagranicznym akermanem. Trzeci zauważy z przekąsem:

– Jaki tam muszkat? Co za akerman? Przecież to bordeaux.

Na te słowa zerwie się ktoś z kąta i z miną znawcy weźmie od was szklanę – jakby chciał powiedzieć: „Pozwólcie i mnie skosztować, nie bądźcie świnia!” I po kilku łykach oświadczy z rozpromienionym obliczem:

– Wiecie, Żydzi, co to jest? Nie, nie wiecie! To jest, niestety, zwykłe, pocziwe, domowej roboty wino rodzynkowe z Berdyczowa!

I wszyscy przyznają mu słuszność, że to jest prawdziwe berdyczowskie wino rodzynkowe. A po kilku szklaneczkach tego wina rozwiązują się wszystkim języki. Jeden z obecnych zaczyna mówić o swoich sprawach, ciągnąc innych za język. Wszyscy mówią jednocześnie. Jak napisano w *Sentencjach praojców* – wszyscy Izraelici są braćmi... I opowiadają sobie nawzajem o wielkich nieszczęściach, krzywdach i prześladowaniach, jakie dzieją się na tym bożym świecie. Aż miło słuchać!

Gdy jedziecie trzecią klasą do jakiegoś miasta i szukacie tam przyzwoitego noclegu – spytajcie kogoś z obecnych. Ilu Żydów znajdzie się w wagonie, tyle polecą wam hoteli i zajazdów. Jeden da wam adres:

– Hotel Frankfurcki.

I wychwala go mówiąc, że w tym hotelu jasno i czysto, ciepło i tanio. Wnet znajdzie się inny doradca, który powie:

– Hotel Frankfurcki? Wystrzegaj się go pan jak zarazy! Jest tam ciemno, zimno i brudno, a ceny wygórowane. Tylko hotel „New–York” to porządny hotel...

Na to zrywa się trzeci i woła:

– Hotel „New–York”! Czy wam przypadkiem nie tęskno za pluskwami? Niechże nie tużmanią pana nazwy: Frankfurt, New–York! Proszę zebrać swoje manatki i udać się ze mną. Zamieszkamy razem w moim zajeździe, w hotelu „Rosja”. Tam zatrzymują się Żydzi!

Oczywiście, trzeba uważać na walizkę, aby wam jej, broń Boże, nie skradziono... Ale powiedzcie mi, proszę, gdzie też dzisiaj nie kradną? Zresztą, co komu przeznaczone, to go nie minie. Jeśli wam tak sądzono, to okradną was wśród białego dnia – i nic wam nie pomoże policja ani żandarmi, ani modlitwa! Podziękujcie jeszcze Bogu, że wam się udało ująć z życiem...

Słowem, powinniście jeździć trzecią klasą. Tak wam radzi szczery przyjaciel, człowiek praktyczny – komiwojażer Adieu!